CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR

ROK XXII

ŚWIAT

№ 34

WARSZAWA, DNIA 20-go SIERPNIA 1927 ROKU

Wydawcy Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Na temat: kobieta, strój i obyczaje

„Polkę powojenną", tę nowoczesną czarującą istotę, która w krótkich do kolan sukienkach tańczy charlestona i blues'a, — zaatakowano z dwóch stron równocześnie. Ks. Zygmunt Łoziński, biskup piński, wystąpił z listem pasterskim, w którym surowo potępia dzisiejsze stroje niewieście, ubolewając, że „walka z głupią a bezbożną modą nie daje dotychczas skutków upragnionych". Kobiety polskie, „już to przez wzgląd na wygodę, inne przez skłonność do małpowania, a jeszcze inne w skutek grubej zmysłowości, nie przestają ubierać się nieskromnie." „Nie tylko wystawiają na pokaz swe członki i skórę, często zresztą szpetne, nieraz w dodatku niezdarnie pomalowane (jeno patrzeć, jak przywieszą sobie na wzór dzikich do nosa lub uszu błyszczące ciężarki), ale cynicznie odsłaniają przed światem brudne poruszenia swych dusz, zmysłów i serc." Ks. biskup piński wzywa tedy duchowieństwo, aby wzbroniło dostępu do kościołów kobietom, ubranym nieprzystojnie, przyczem wskazuje wcale szczegółowo, jaki strój może być uważany za nieskromny: suknie wydekoltowane, przejrzyste, zbyt krótkie albo z obciętemi rękawami. Niewiasty, przystępujące do Sakramentów św., mają mieć ubranie zapięte do szyi, rękawy i spódnice długie, — głowę, zakrytą kapeluszem, chusteczką lub welonem. Proboszczowi kościoła przysługuje prawo bezapelacyjnego sądu, czy strój danej osoby odpowiada wskazanym warunkom lub nie. W tym ostatnim wypadku może zarządzić usunięcie z świątyni.

Nestor publicystów polskich, Aleksander Świętochowski niemniej ostro w „Kurjerze Warszawskim" obszedł się z nową modą, której bezmyślnie ulegają kobiety wszystkich warstw, nie wyłączając nawet włościańskiej. Kraj zubożał, walczy z niedostatkiem, bilans handlowy jest wciąż ujemny, tymczasem kobiety w Polsce stroją się tak, jak nigdy się nie stroiły. Każda chce nosić jedwabne pończochy, jedwabne suknie, pantofelki lakierowane, drogie kapelusze. Wszystko to sprowadza się z zagranicy, nie bacząc, że taki zbytek zubaża naród. Gdy zaś kobiety nie potrafią zrozumieć, jaką krzywdę wyrządza ogółowi ta bezmyślna żądza stroju i zabawy, „czy społeczeństwo może liczyć na jakąkolwiek ich siłę moralną lub materjalną?"

Jesteśmy u progu nowego sezonu. Właściciele magazynów już sprowadzają stosy towarów zagranicznych, przeznaczonych dla naszych elegantek na jesień i zimę. Mają-ż te poważne, reflektujące głosy pozostać bez echa?

. . . .

List pasterski ks. Łozińskiego uderza w strunę obyczajową. Możnaby zauważyć, że zajmuje się raczej skutkiem, nie przyczyną. Nie stroje bowiem są powodem złych obyczajów; rozluźnienie zmysłowe, niewątpliwe w modzie dzisiejszej, jest jednym z wielu skutków tych zmian, jakie zaszły w ciągu ostatnich trzynastu lat w naszej obyczajowości. Sięgać tedy należy głębiej, do źródeł.

Życie kobiety polskiej w tym czasie uległo bardzo znacznym przeobrażeniom. Uzyskała ona

pełnię praw politycznych, o jaką daremnie zabiegają kobiety najbardziej kulturalnych krajów Europy: Francji, Anglji, Niemiec, Włoch. Jednocześnie jednak niepomyślne warunki materjalne zmusiły ją do pracy, w nierównie wyższym stopniu, niż to było przed wojną. Burżuazja nasza przeważnie została wyzuta z posiadanego ongi majątku. Młode kobiety z zamożnych rodzin zmuszone zostały do pracy zarobkowej. Pracując z wielkim wysiłkiem na własne utrzymanie, musiały w sobie wyrobić zgoła inne poczucie niezależności i samodzielności. To poczucie nie mogło nie przesiąknąć i do ich obyczajowości. Kobieta, idąca przez życie o własnych siłach, nawyka oglądać się tylko na własną wolę. Węzły rodzinne i towarzyskie, które dawniej były dla niej instancją decydującą, przestały ją krępować.

Zresztą w samem życiu rodzinnem niemniejsze nastąpiły transformacje. Instytucja małżeńska została silnie podważona. Świadczy o tem olbrzymia, wciąż rosnąca, liczba rozwodów. Małżeństwo przestało być faktem najwyższej wagi, który stanowił o całem życiu. — Będzie mi z nim dobrze, mówi „polka powojenna", tem lepiej. Będzie źle, to się rozejdziemy! Zwiększa się nieustannie liczba małżeństw, w których i mąż i żona pracują po za domem.. Gdzież tu może być mowa o stworzeniu ogniska domowego, w dawnem pojęciu, skoro najczęściej młoda para nie ma własnego mieszkania, osiedla się w podnajętych pokojach! W tych warunkach dziecko staje się ciężarem: unika się go. Rodzina bez własnej, choćby najskromniejszej siedziby, bez własnego gospodarstwa i przedewszystkiem — bez dzieci? W tem tkwi, mojem zdaniem, sedno sprawy obyczajowej. Nazbyt krótkie sukienki lub obnażone ramiona, to tylko drobne objawy choroby groźnej i poważnej, która trawi burżuazję polską. Tem jeszcze niebezpieczniejszej, że warstwy włościańskie i robotnicze w obyczajowości idą naogół śladem burżuazji.

. . . .

Wojna i ferment rewolucyjny wywołują niemal zawsze niecierpliwą żądzę uciech i zabawy. Reakcja ta ogarnęła wszystkie kraje, — najsilniej te, które dotknięte zostały bezpośrednio klęską wojny. Ferment rewolucyjny wdziera się do wszystkich dziedzin życia. Gdy ogarnia literaturę i sztukę, jakże mógłby ominąć obyczaje? Ślepym trzeba być, aby nie dostrzec, jak ogromne zmiany zaszły w naszem życiu i w naszych poglądach. Wiele słusznych przesądów zostało obalonych. Chwała Bogu! Wyrozumiałość była i będzie zawsze jedną z najpiękniejszych cnót. Musi mieć jednak swoje granice. Interes rodziny i interes państwa muszą być bronione. Najmocniejszą podstawą ustroju społecznego jest dotąd uczciwa jednostka rodzinna. Jeśli chodzi o moralność, najskuteczniejszem współdziałaniem będzie popieranie życia rodzinnego, ułatwienie tworzenia nowych ognisk rodzinnych. Zakazy, prohibicje? Nigdy one wielkiego pożytku nie odnosiły. Skłonność do zbytku wśród kobiet istnieje, odkąd kobieta chce się podobać mężczyźnie: więc zaczęło się to jeszcze w raju. Na głupią modę jest tylko jedna rada: inna moda. Montaigne, doskonały znawca duszy ludzkiej i jej słabostek, już przed trzema wiekami pisał:

— Prawo powinno by orzec, że jedwabie i klejnoty wzbronione są wszelkim stanom ludzi, za wyjątkiem hecarzy i ladacznic....

Podobnym konceptem poprawiał Seleukas skażone obyczaje Lokryjsczyków. Wzbraniał np. kobietom sukien, zdobionych kosztownym haftem, o ile te kobiety nie były dziewkami publicznemi. Śladem tej doświadczonej mądrości iść należy. Trzeba uczynić zbytkowną i niestosowną modę dzisiejszą — niemodną. Podjęły to zadanie panie z arystokracji włoskiej. Czemuż nie mielibyśmy tego samego zainicjować u nas? Lecz do spisku przeciw głupiej modzie należałoby wezwać nietylko szanowne matrony, które ubierają się antycznie i brzydko. Nie przekonają one młodych piękniś, żądnych coraz nowych sukcesów. Do spisku trzeba wciągnąć urodziwe elegantki, — z arystokracji, burżuazji i teatru, — które nadają ton modzie. One mogą sprawić, że jedwabne suknie i jedwabne pończochy na codzień staną się śmieszne i niewłaściwe, jak było to przed dwoma dziesiątkami lat. Kobieta, pojawiająca się w biały dzień na ulicy w jedwabiach, budziła drwiny i podejrzenia. Ta sama taktyka mogłaby łacno przydłużyć spódniczki, wywołać modę zasłaniania kolan. Nie wątpię, że wśród naszych pięknych i wytwornych pań znalazłby się hufiec amazonek, gotowych do podjęcia walki. Właściciele wielkich magazynów, z p. Hersem na czele, nie poskąpiliby sukursu. Zwrot mody mógłby również sprawić, aby stałe dancingi w restauracjach i kawiarniach uznano, jako niewłaściwe dla pań „z towarzystwa". Snobizm więcej zdziała, niż dostojne anatemy. I na komorach celnych możnaby czynić większe wstręty damom, przywożącym z wycieczek zagranicznych pełne kufry zbytkownych szatek. Wszystkie te środki Mussolini umiał zastosować we Włoszech. Obywateli włoskich, wydających na zabawę pieniądze poza granicami ojczyzny, w tym roku nie ujrzysz. Trzeba wywołać silny prąd opinji, nie posiłkując się dla małych rzeczy — zbyt wielkiemi słowy. W tej dziedzinie życia decydują: moda, snobizm i obawa śmieszności.

Stef. Krz.

JULJAN EJSMOND

Obiecanki cacanki

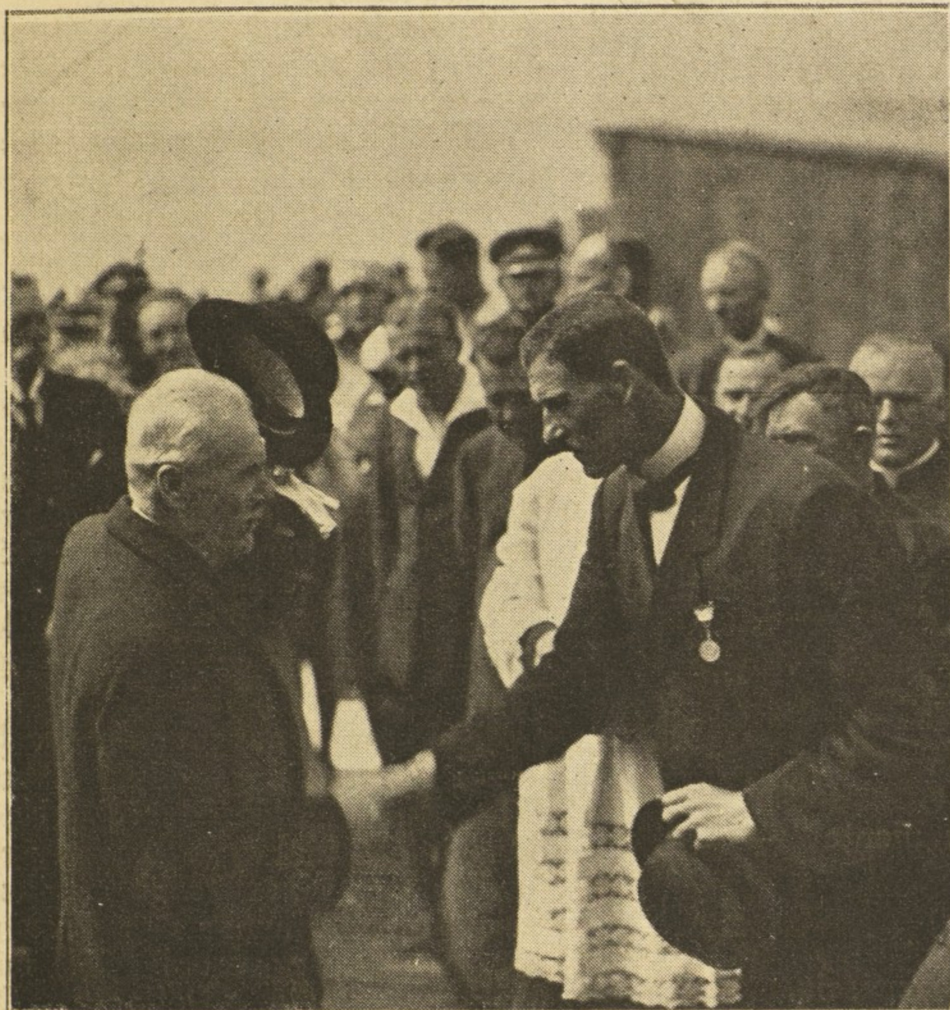
Ciemne chmury pokryły
urzędników oblicza,
chociaż byli w wybornym humorze....
Choć dodatek jest miły —
lecz go każdy oblicza,
a obliczyć go żaden nie może...

Hieroglify Egiptu,
wiedza Indji ukryta
zrozumialsze są od tej uchwały.
Każdy czyta i czyta
i za głowę się chwyta....
Któż określi „odnośne" udziały?

A rachunek jest prosty,
a rachunek jest jasny:
w zarządzeniu wszystko
„jak wół stoi".
Ilość zębów pomnóżcie
przez wiek żony (swej własnej)
i podzielcie przez sumę pokoi...

Ale wasza drużyna
niech nie traci humorów!...
Niechaj każdy radosne ma lice, —
bo gdy przyjdzie godzina
jakichś nowych wyborów,
usłyszycie — lepsze obietnice...

Z pobytu Pana Prezydenta na Pomorzu



Przywitanie Pana Prezydenta w Jastarni

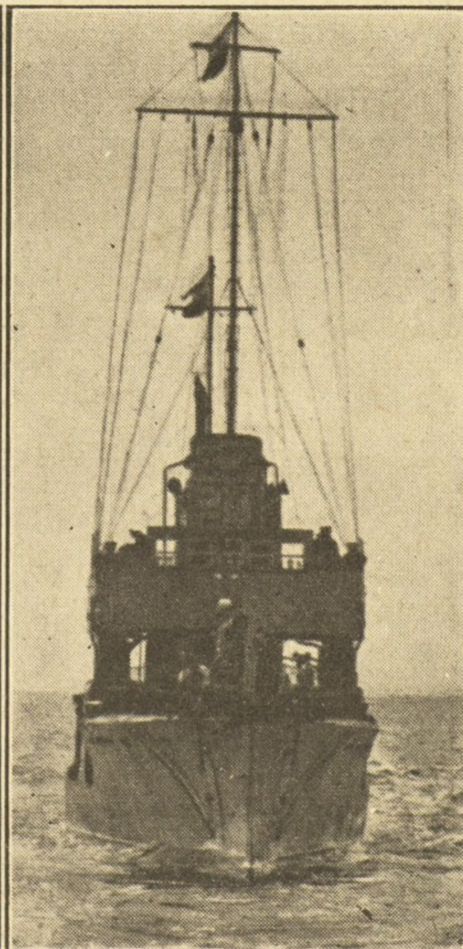


Pan Prezydent i Pani Prezydentowa na pokładzie statku wojennego „Jaskółka"



Herbatka na pokładzie statku „Gdynia"

Fot. W. Pikiel



Torpedowiec „Kujawiak",
który stale towarzyszył Panu Prezydentowi podczas podróży na morzu



W rocznicę marszu na Rzym. Mussolini po rewji awangardy faszystowskiej w Colosseum.

PRZEMIANY WŁOSKIE

Lato. Słońce pali. Sirocco dmie od brzegów afrykańskich, niosąc żar i pobudzając do czynu jedynie kurz.

Jakże odległe są przysłowiowe gaje pomarańczowe! Nikt z pieszczotą tęskną nie wzywa „O sole mio" — wszyscy się raczej kryją przed tym gorącym kochankiem. Czarna przemarznięta „granite" lub wyszukana sycylijska „cassata" — to jedyny ratunek rzymskiego mieszczucha, szukającego cienia pod baldachimem „Aragno", „Foraglii" lub innego przedsiębiorstwa, pozwalającego w takiej lub innej postaci łykać lód.

Kto może—ucieka nad morze. Ostia, Fregene, Anzio, Nettuno, Santa Marinella, Terracina, Formia — oto ucieczka rzymskiej przyduszonej ludności. Tam, w fali tyrreńskiej, na piasku złocistym lub... zupełnie popiołkowym odbywają się obrzędy ze słońcem, „zgoła" inne, niż tułających się po ulicach niewolników rzymskich.

Lato. Upał. Cassata. „Granite con panna". Miraż morza. Kubistycznej perfumy urbanizmu osłody — benzyny zapach i trąby samochodowej rozpaczny jęk! — Cassata. — Upał taki, że nawet więdną papierowe róże w wazonie. — Lato. — Ach, zapomnijmy o polityce! Precz z problematami społecznemi! Niech żyje kostjum morski, niech żyją Włochy!

„Dolce far niente!" —

Gdzie ono? Gdzie to najrozkoszniejsze uczucie beztroskiego odpoczynku? Odpoczynku łączącego się z wiecznością...

Próżno go szukać we Włoszech współczesnych. Umarło, czy wyemigrowało? Wszystko jedno — dość że go niema.

Niema go ani w Rzymie, ani w Neapolu, o którego mieszkańcach Stendhal pisał, że „wystarcza im aby poczuli trzy źdźbła makaronu w żołądku, aby się oddali beztrosce i odpoczynkowi".

Niema go już ani na południu, ani na wyspach—nie mówiąc już o północy, o chciwej Genui, przedsiębiorczej Wenecji, zdobywczym Medjolanie.

Wielka przemiana zaszła w duszy Włoch współczesnych.

Zapomnijmy o polityce, o sile i wpływie faszyzmu. Są to siły istotne, żywe, które dokonały wiele — ale odstąpmy od nich. — Idziemy szukać włoskiego far niente. Idziemy przez miasta i miasteczka, porty i pola — i nie znajdujemy go nigdzie.

— Jakże jest inny włoch współczesny od włocha przedwojennego!

Hasło — Italia fara da se —ongi rzucone jako hasło polityki narodowej, dziś wrosło w duszę każdego niemal włocha. Praca przestała być karą — przerwaniem słodkiego far niente — praca stala się bronią każdego włocha, którego wyostrzona wola dziś pragnie „fare da se".

Kryzysy powojenne szły falą przez wszystkie narody. Zubożenie. Ruina oszczędności. Nędza klas intelektualnych. Apetyty rozbudzone mas żywiących się iluzją, że po wojnie manna egipska sypać się będzie z aeroplanów miast bomb. Inflacja. Deflacja. Drożyzna. Bezrobocie.

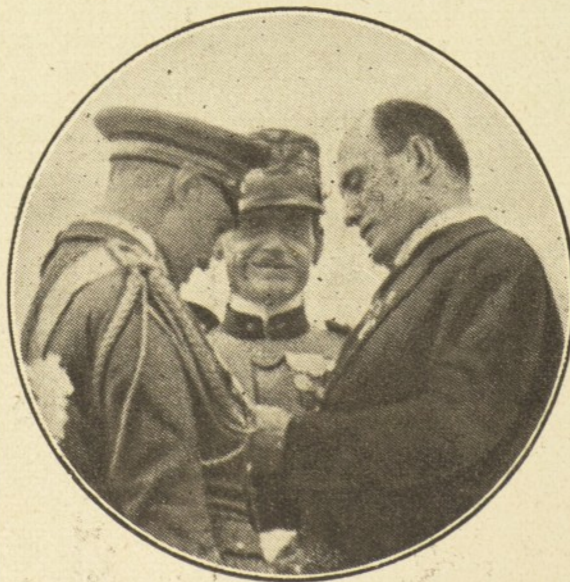
Wszystko to szło, jak fala, i uderzyło również we Włochy.

We Włoszech po wojnie nie zmniejszyło się tempo urodzin — przeciwnie — spadła natomiast straszliwa barjera, zamykając drogę odpływowi emigracji włoskiej. Przed narodem zjawił się problemat: „duszno, ciasno!" Przed jednostką stanęła konieczność i nakaz: „wzmóż intensywność swej pracy lub zginiesz".

Włosi nie chcą i nie lubią ginąć; za piękny mają kraj, za słonecznie czują morze. I rozpoczął się pochód krzyżowy na far niente. I dziś go niema — dziś ono umarło, lub żyje i pieści się z przejezdnemi amerykankami na wysmukłych nogach, z anglicami zbrojnemi w sowie oczy lub z niemkiniami o tak płaskich stopach, że najspokojniejsza fala rozdeptanej plaży staje dęba i wybałwania tysiące swych oczu.

Włoch dzisiejszy, żyjący we własnym kraju, za barjerą emigracyjną, nie ma dzisiaj czasu — ma za to wolę. Wola dojścia do czegoś, wola zwyciężenia trudności — oto cecha coraz częstsza i coraz

FINAŁ NAJDŁUŻSZEGO LOTU HYDRAWJONEM



Komendant de Pinedo odznaczony został wysokim orderem włoskim i otrzymał zaszczytny tytuł honorowego obywatela Rzymu. Mussolini przypina de Pinedzie order.



Rzym. Widok na zamek św. Michała. W głębi kopuła bazyliki św. Piotra.

bardziej dominująca w życiu współczesnego włocha.

Dawny duch, duch żeglarzy, odbijających czy to od brzegów Ligurji, czy wprost z Ostii lub Civita Veechia — duch przedsiębiorczości — odżył z mocą. Dziś już nietylko robotnika włoskiego można znaleść na całym świecie. Znajdzie się również przedsiębiorcę, kupca, przemysłowca. — Idzie on do Rosji, szukając rynku zbytu, koncesji, i walczy z możniejszym odeń amerykańskim lub anglosaksońskim rywalem bystrością, rzutkością, inteligencją. Idzie na Wschód. Tworzy linje okrętowe i staje do konkurencji z największymi potentatami morza: „Roma", „Augustus" — oto kolosy, mające bić szybkością inne olbrzymy Oceanów.

Przemysłowiec włoski w pracy nie ustępuje swemu robotnikowi. Pracuje od siódmej rano, o filiżance czarnej kawy do południa—pracuje do późnej nocy. Amerykanizuje się. Auto, kolej, teraz już nawet i aeroplan stają się jego narzędziami pracy.

Patrzę na człowieka, który w Abruzzach kieruje kilkuset robotnikami pracującymi w górach przy elektryfikacji, który jednym tchem łyka kilkaset kilometrów, by jako budowniczy - inżynier skontrolować budowę pod Florencją a nazajutrz kończyć swój raid w warsztatach medjolańskich. Żyje wśród huku młotów, kolumn cyfr, obstalunków, konkurencji. Nie widzi teatru, muzykę słyszy, o ile spotka wędrowną katarynkę (i ta znika), literaturę zna przedwojenną. Dla żony i dzieci, dla nich przedewszystkiem, ma całą lub część niedzieli. Praca jest jego mózgiem, krwią, powietrzem, którem oddycha.

A obok niego stu, tysiąc jest podobnych. Stary, „głowa rodu", fabrykant, niejako już na urlopie, dogląda swych synów. Jeden prowadzi oddział w Neapolu, drugi w Rzymie, trzeci w Livorno. Szef rodziny przyjeżdża autem z Livorna rano o 10-ej do Rzymu. Wieczorem ma obiad oficjalny — jest hjerarchą politycznym — w międzyczasie robi skok... do Neapolu, kontroluje fabrykę i wraca pełen życia.

Sekretarz partji rządzącej, Turati, siada okrakiem na awjon, jak na poczciwego szlacheckiego stępaka i przemawia tego samego dnia w Neapolu, Genui, Medjolanie, Brescii.

Włoch nie ma czasu!—oto przemiana zasadnicza. Włoch ma wytrwałość i wolę — oto co dziś bije w oczy w każdym szarym momencie życia codziennego.

Przemysł walczy dziś z trudnością rewaloryzowanego lira, z konkurencją zagranicy. Szuka i zdobywa nowe rynki —walczy pracą i oszczędnością wewnątrz, eksportem zewnątrz.

O, kraju smętnego cyprysa i dojrzewającej cytryny — jakżeś się zmodernizował!

Ale to nic! — Cytryna i tak dojrzewa, gaje pomarańczowe kwitną, Adrjatyk się lazurzy, a Morze Śródziemne gra nieprawdopodobnym seledynem. W Sorrento i na Capri tańczą tarantelę. Lazurowa grota nadal jest cudem. Urok Assyżu każe zwierzętom być dobrymi, a w oczach ludzkich krzesze spojrzenia modlitwy. Fontanny rzymskie szemrzą, a obok w Terni kaskady ujarzmione pracują miljonami wolt, huczą młoty w Sampierdarena, Turynie. — Mascagni dyryguje koncertami dla robotników, a Marinetti ma maleńką córkę „kulistą", bynajmniej nie złożoną z kubów i w niczem nie przypominającą „statyki lokomotywy na węzłowej stacji".

Włoch dzisiejszy ma wolę.

De Pinedo — dwa loty ponad oceanami: 55,000 i 45.000 kilometrów! Wytrwałość, próba motoru i człowieka. Leci. Niepowodzenie. Pożar. Zniszczenie aparatu. Upadek do morza. Dwa dni walki z falami. Nic to. Lot musi być i jest dokończony.

Niepowodzenia, katastrofa, żywioły — wszystko milknie: „z Rzymu i do Rzymu" — taki był program ponad oceanami. Program wykonany.

Zapewne Lindberg zaćmił dziś swem bohaterstwem wszystko. Ale Lindberg to cudowna szarża — Szarża ponad oceanem. To Sommosierra, wobec której zbladły szarże inne, stałe, świetne — ale z których się składała trwałość potęgi czynu.

Włoch dzisiejszy jest pierwszorzędnym sportowcem i lekkoatletą. Ma wolę zwycięstwa, szybkość ruchu — a nabrał metody.

Pada autorytet Szwajcarji, Francji, Szwecji, Węgier, Czechosłowacji, Hiszpanji; narodowa jedenastka włoska bije je kolejno w foot - boolu.

Masetti, Maggi, Matterassi, Borzaechino, Brilli Peri—oto gwiazdy rekordów samochodowych, dla których niema rekordu do pobicia.

Binda, Girardengo, Piemontesi, Belloni — cztery pierwsze miejsca w championacie świata na rowerze.

Cerboneschi, Caeciandra, Lombardi, Nisco, Antonelli, Lequio — oto potężna ekipa oficerów w sporcie hippicznym.

De Bernardis — rekord szybkości awjacyjnej, Ferrarin — rekord doświadczenia a ostatnio rekord skoków ze spadochronem. Spalla, mistrz boksu. Aldo Nandi, mistrz szpady i floretu, pokonany jedynie przez zjawiskowego Lucien'a Gaudin.

Oto krótki spis, spis nie nazwisk lecz tężyzny — tężyzny w pracy i woli. Tężyzny starego fabrykanta i młodego lotnika. Zjawiła się wola jednostek i wytworzyła przemianę energji narodowej, wytwarzając siłę narodu.

Wola kierownika nawy narodowej — człowieka, co stworzył siebie i co tworzy teraz Włochy, jako mocarstwo — odegrała w tych przemianach rolę olbrzymią. Nauczyła chcieć. Kazała módz. Nie pozwala próżnować.

Ale i ona by tyle nie zdziałała, gdyby tej woli nie było już przedtem w stanie potencjalnym. Naród śródziemnomorski — pełen słońca, pieśni, poezji, muzyki i zasłuchania w szum fali — żył z tą falą i na tej fali beztrosko.

Gdy huragan dziejowy falę skłębił, zdarł i w góry morskie przekształcił — tenże naród nowy rytm burzliwej fali schwycił.

Nie dał się zalać.

Dosiadł fali.

Zmieniła się pieśń — zawarczały motory, naprężyły się muskuły. Wola życia, życia mocnego, zjawiła się i znikło urocze far niente.

Zwycięski atleta i rzutki przemysłowiec, pełen fantazji literat i wytrwałej rozwagi lotnik — oto przemiany codziennego dnia, w kraju, gdzie każdy do słońca woła — „o sole mio"!

A wołając tak, chce doń dążyć coraz wyżej i bliżej!

Leon Chrzanowski

Legenda o żyjącym człowieku

El - Orens („Miażdżący pociągi")

Nazwisko pułkownika T. E. Lawrenca znanem jest dziś w całym świecie anglosaksońskim i w całej Arabji. Około jego osoby, z innej niż ludzie dzisiejsi ulepionej gliny, podobnej do postaci średniowiecznych konkwistadorów i budowniczych wielkich imperjów, snuje się dziś mnóstwo podań, legend i anegdot. Jego postać uwieczniło już na płótnie i papierze mnóstwo sławnych artystów współczesnych.

Kim jest ten młody wiekiem, stary doświadczeniem, a bogaty w sławę człowiek? Student oksfordzki, uczony archeolog, przed wojną pracuje w cichym zakątku Anglji. Po wybuchu wojny zgłasza się do służby wojskowej. Niezrażony odrzuceniem go z powodu marnej i wątłej postaci, zaciąga się jako ochotnik w szeregi i dla znajomości języków orjentalnych przydzielony jest do służby wywiadowczej w Egipcie. Służba ta nie daje mu zadowolenia, rwie się do czynu, zatruwa swoim przełożonym życie, snując fantastyczne plany, domagając się zleceń, sprzeciwiających się zdrowemu rozsądkowi rządzących generałów. Wkońcu po sprzeczce z jednym z generałów dostaje na znak niełaski nieograniczony urlop do kraju. Po jego odjeździe przełożeni oddychają z ulgą. Tymczasem Lawrence, wbrew zakazowi, przedziera się do namiotów Feizala, jednego z synów Husseina, przywódcy możnego między Arabami. Przebrany za Araba, władając wszystkiemi narzeczami arabskiemi, pozyskuje zaufanie Beduinów, organizuje powstanie przeciwko Turkom, prowadzi wojnę podjazdową, wysadza w powietrze koleje tureckie, skąd przydomek „miażdżący pociągi". Niezmordowany jeździ od szczepu do szczepu, werbuje, podburza, łączy i godzi nieprzyjaznych szeików. Teraz nareszcie generałowie widzą użyteczność jego fantastycznych planów i armja angielska dostarcza mu posiłków, amunicji, okrętów, wielbłądów i wielkich sum pieniężnych. Gdy na czele zwycięskich wojsk El-Orens wjeżdża obok Feisala do Damaszku, słyszy, jak płaczące i wyjące z radości tłumy wykrzykują imiona swoich bohaterów: Feisal, Nazir, Szukri Orens. Ukoronowaniem Feizala na króla Hedżasu dosięga celu swych marzeń.



Pułkownik T. E. Lawrence

Jakie są dalsze losy tego dziwnego człowieka? Wraca do Anglji, do Oksfordu i pisze historję swoich przygód arabskich. Gdy na dworcu w Reading zostawia przez chwilę swój kuferek z manuskryptem bez nadzoru, zabiera mu go nieznany złodziej. Niezrażony Lawrence pisze swoją epopeję po raz drugi, a zwleka z jej wydaniem, bo zewnętrzna szata książki obchodzi go tak bardzo, że eksperymentuje papierem, czcionkami, zamawia ilustracje u najsławniejszych artystów, a wkońcu drukuje ...osiem egzemplarzy, zaś wkrótce potem drogą subskrypcji dalszych 22. Książka, wydana około Nowego Roku, a więc cztery miesiące temu, kosztująca 30 gwinei (2500 zł.), dziś już jako biały kruk kosztuje 150 gwinei. „The Seven Pillars of Wisdom" (Siedem kolumn mądrości) obudziły tak wielkie zainteresowanie, że przyjaciele skłonili Lawrenca do wydania skróconej wersji, która pod tytułem „The Revolt in the Desert" (Rewolta w pustyni), wydana w miesiącu ubieg.ym, rozchwytana już jest w drugiem wydaniu.

W obydwóch wersjach mamy historję przedarcia się Lawrenca do Feisala, jego życia wśród Beduinów, powstania arabskiego w r. 1916, zdobycia Damaszku, wycieczek agitacyjnych w kraj nieprzyjacielski, napadów na koleje tureckie, zdobycia Akaby, które zakończyło wojnę Hedżasu. Książka pisana świetnym stylem, bogata jest w barwne, żywe opisy i szczegóły zarówno zajmujące, jak często tragiczne lub zabawne. Czyta się ją jednym tchem, jak przygody bohaterów dawnych lat, zapominając, że to dzieje dnia wczorajszego — prawie, że dzisiejsze. Lawrence po wydaniu książki odrzuca wszelkie zaszczyty i zgłasza się jako zwykły szeregowiec do służby lotniczej angielskiej. Charakterystycznym dla jego dziwactw jest fakt, że ten uczony lingwista i archeolog upiera się przejść cały kurs wyszkolenia, wraz z nauką gramatyki i języka angielskiego dla analfabetów. Wkrótce ma wyruszyć na wybrane przez siebie stanowisko do miejscowości na zapadłych krańcach Imperjum. Może tam zapomni, że sny jego rozwiały się, jak bańka mydlana, że dom Haszimów, któremu służył, uległ przemocy swych nieprzyjaciół Wahabitów i że, Ibn Saud, wróg Feizala, zawładnął Hedżasem i świętemi miejscami Islamu.

Ale czyny El-Orensa pozostawiły niezatarte ślady na krajach i ludach arabskich, a dzieje ich, uwiecznione w „Siedmiu kolumnach mądrości" i „Rewolcie na Pustyni", przetrwają wieki i żyć będą długo potem, gdy historja Wielkiej wojny należeć będzie do zamierzchłej przeszłości.

S. Goryńska

MĘCZEŃSTWO ŚW. APOLONJI



Część środkowa ołtarza późno gotyckiego, obecnie w bocznym ołtarzu w Głuchowie, pow. Kościański, stacja kol. Czempin (Wielkopolska). Wysokość płaskorzeźby: 115 cm., szcrokość: 60 cm., głębokość reljefu: 20 cm. Ołtarz jest pomalowany farbami olejnemi o żywym kolorycie, co wytwarza wspaniałą harmonję polichromji o naturalistycznych walorach Fot. Rubens

Sztuka gotycka w Wielkopolsce

OŁTARZ W GŁUCHOWIE

Zagadnienia tyczące twórczości Wita Stwosza, jak również kwestje jego narodowości i pobytu w Polsce nie zostały jeszcze należycie wyświetlone. Sprawa naszego mistrza nie może być wcześniej załatwiona, dopóki nie przystąpimy do gruntownej inwentaryzacji pomników rzeźby gotyckiej, znajdujących się w kraju (szczególnie na Śląsku) i do ich opracowania metodą nowoczesną. Po niezmiernie żmudnej pracy d-ra Szydłowskiego, która polegała przedewszystkiem na tem, aby jaknajdalej odsunąć fantastyczne i badania tamujące fałsze, starał się dr. Kopera w roczniku Krakowskim (nr. X) wykazać charakter twórczości Wita Stwosza i określić jego styl. Kopera opierał się w główne, mierze na właściwościach i cechach stylistycznych ołtarza marjackiego i tych dzieł, które przypisuje się z całą pewnością Stwoszowi. Trudności zaś w rozróżnianiu dzieł pochodzących z pracowni Stwosza od prac syna jego Stanisława — tudzież innych warsztatów — pomnaża i potwierdza fakt, że ołtarze stwoszowskie były naśladowane nietylko przez uczniów, lecz także przez zupełnie samodzielnie pracujących artystów opierających się na sztychach mistrza Stwosza.

Dotychczas stwierdzono, że część środkowa tryptyku w Lusiny (w zbiorach Akad. Umiej. w Krakowie) z wyjątkiem drobnych szczegółów została skopjowana ze sztychu Stwosza (P. 4). To samo możnaby powiedzieć i o rzeźbie, która stanowi jedno skrzydło ołtarza głównego w Lewoczy, na Spiżu. Jest to scena, przedstawiająca ścięcie św. Jakóba ze sztychu Stwosza P. 8. Ze sztychu B. 2., wyobrażającego opłakiwanie Chrystusa, zdaje się pochodzić postać św. Jana na reljefie ołtarza w kaplicy Czartoryskich w katedrze krak. Tam napotykamy św. Jana w charakterystycznie rozwianym płaszczu, jak i podobną kompozycję całości. Stąd wniosek, że sztychy Stwosza wędrowały po różnych pracowniach i były ówczesnym rzeźbiarzom wzorami. Nie należy się przeto dziwić, że tak mało pozostało z prac swaficznych Wita Stwosza. Wielka część tych kartonów zapewne uległa zniszczeniu przez częste używanie ich w pracowniach, natomiast jesteśmy w posiadaniu 10 kompozycyj sztychów, które przetrwały aż do czasów dzisiejszych.

Podczas najnowszych prac inwentaryzacyjnych w Wielkopolsce*) ołtarz w Głuchowie (pod Czempinem) został po raz pierwszy sfotografowany i opublikowany (równocześnie w nr. 9-tym tygodnika „Światowid", lecz z zupełnie błędnym tekstem**). Ołtarz ten, wyobrażający męczeństwo św. Apolonji, zawiera tyle cech i znamion właściwych Witowi Stwoszowi, że bezsprzecznie posiada łączność z jego twórczością. Niegdyś przypisywano prawie wszystkim ołtarzom wielkopolskim z tego czasu pracownie Wita Stwosza lub syna jego, lecz żaden z nich, ani nawet ołtarz Koźmiński czy też Poznański (w kośc. św. Wojciecha) nie wskazuje na Kraków jako miejsce powstania. Sztukę późnogotycką w Wielkopolsce należy uważać nie jako samodzielną, lecz jako odłam sztuki śląskiej, t. zn. tej sztuki średniowiecznej, która łączyła podówczas tak ściśle ze sobą dwa miasta, Kraków z Norymbergą.

*) Na szczególniejszą uwagę zasługuje planowana na większą skalę „Bibljoteka Zabytków Wielkoplskich" (współpracownicy: konserwator Państwowy dr. N. Pajzderski, Prof. dr. Dettloff, dr. A. Brosig, Kustosz Muzeum Wielkopolskiego), której tom I „Ołtarze Gotyckie" — d-ra Alfreda Brosiga przynosi wiele ciekawego materjału z historji sztuki gotyckiej na ziemi Wielkopolski.

**) Porównaj A. Brosig: „Der Altar von Gluchowo" w Zeitschrift für bildende Kunst. E. A. Seemann Lipsk 1926—27 nr. 5, strona 109.



PREDELLA OŁTARZA GŁUCHOWSKIEGO

Chrystus upada pod krzyżem. Wysokość tablicy drewnianej: 31 cm., szerokość: 98 cm., głębokość reljefu: 10 cm. Płyta ta jest malowana farbami olejnemi bez użycia złota; kilka rąk, jakoteż kij, którym się podpierał Szymon Cyrenejczyk, są odłamane

Predelli naszego ołtarza, przedstawiającej upadek Chrystusa pod krzyżem (98 cm. de., 31 cm. wysok.) (ryc. 1) niewątpliwie nie wykonał ten sam artysta, który rzeźbił scenę główną. Można jednak przypuszczać, że scena ta „robiona" była pod wpływem Stwosza, a rzeźba z tej to szkoły pochodzi. Potwierdza to podobieństwo pomiędzy predellą Głuchowską a reliefem nad wewnętrznemi drzwiami wejściowemi kościoła mariackiego w Norymberdze. Scena naszej rzeźby jednak ujęta jest odwrotnie, t. j. pochód kieruje się z prawej ku lewej stronie.

Rzeźba środkowa (115 cm wysok. 60 cm. szer.) (ryc. 2) wyobraża scenę męczeństwa św. Apolonji, t. j. wyrwanie zębów świętej przez oprawców w obecności króla i przyglądającej się ludności. Dekoracyjne traktowanie i wytworne ułożenie szat, doskonałość charakterystyki postaci i ich twarzy oraz sposób skomponowania tej sceny wskazują na podobne prace stwoszowskie. On tylko mógł stworzyć tę dramatyczną scenę, z czego jednakże bynajmniej nie wynika, żeby Wit Stwosz był tej rzeźby wykonawcą. Chodzi przecież najpierw o ujęcie tematu tej sceny. W tem ujęciu temat ten nie może pochodzić z pierwszych dziesiątków w. XV-go, jak przypuszczalnie rzeźba ołtarza, o czem świadczy górna część tablicy, a zwłaszcza trzy popiersia figur za balustradą, które napotykamy już w drzeworycie Dürera z roku 1498-go (B. 61), przedstawiającym męczeństwo św. Jana i należącym do cyklu Apokalipsy (ryc. 3).

Ze względu na ten stosunek rzeźby Głuchowskiej do drzeworytu Dürera, ołtarz ten nabiera głębszego znaczenia naukowego, wysuwając się tem z szeregu innych prac rzeźbiarskich w Wielkopolsce. Gdy Stasiak swego czasu usiłował dowieść, że Dürer jest tylko naśladowcą Stwosza, powiedział tem za dużo. Niemniej jednak jest pewnem, że Wit Stwosz jako artysta niezmiernie twórczy i indywidualny, przez prace swe wywierał ogromny wpływ na współczesnych mu artystów — także i na Dürera. Stąd też przypuszczenie, że Dürer skopjował te trzy figury w swoim drzeworycie ze sztychu — prawdopodobnie stwoszowskiego— ma dużo prawdopodobieństwa.

Poznań *Hilary Majkowski*

Z literatury niemieckiej

JESTEŚMY WIĘŹNIAMI

Wśród szerokich kół inteligencji niemieckiej duże wrażenie wywołała książka Oskara Grafa p. t. „Wir sind Gefangene". Pisarz ten jest samoukiem. Syn wiejskiego piekarza, uprawiał z początku zawód ojcowski. Był windziarzem, pracował na poczcie. Przez jakiś czas zarabiał na życie jako robotnik młynarski. Wszystkie te zajęcia nie wyczerpywały jego energji. Jest on gorliwym propagatorem doktryn anarchistycznych. Mimo to na rozkaz wojenny idzie do wojska. Bierze udział w wielu bitwach od 1914 — 1917 r. Gdy w r. 1918 wybucha rewolucja Ejsnera w Monachjum — Graf staje w szeregach.

Życie pełne pracy i poszukiwań intellektualnych prowadzi go do prób na polu literatury. W r. 1919 wydaje zbiór wierszy p. t. „Amen i Początek". Od tej chwili staje się literatem. Nowele, powieści z życia bawarskich chłopów zwracają na niego uwagę krytyki literackiej. Graf przemawiać zaczyna w imieniu biedoty: jest on wyobrazicielem życia zapracowanego, biednego ludu współczesnych, powojennych Niemiec.

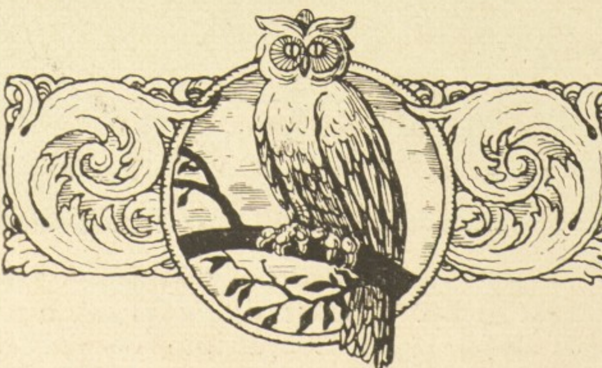
Jego książka „Jesteśmy więźniami", aczkolwiek jest autobiografją, maluje stosunki społeczne niemieckie z punktu widzenia tej pracującej, biednej, chłopskiej gromady. Nie trzeba podkreślać, iż Graf nie jest zwolennikiem „hurrapatrjotów" niemieckich. Książka jego, jako dokument, jako zbiór faktów, jaskrawych a prawdziwych, spotkała się z dyskusją życzliwą i uważną we wszystkich obozach ideowych. Wystarczy stwierdzić, iż wartość jej podnieśli literaci: T. Mann, H. von Hoffmansthall, B. Frank, jak i działacze polityczni Noske i inni.

Czytelnika polskiego w książce tej interesują przedewszystkiem obserwacje obyczajowe. A te są świetne! Strona ideowa jest dla nas nie do przyjęcia. Fakty z życia politycznego Niemiec mogą też zaciekawić. Szczególnie opis rewolucji K. Eisnera. Jest to nawet pouczające i ostrzegające.

„UCIECZKA OD CZASÓW OBECNYCH"....

Nazwisko Hugona Ball'a przyszło do Polski wraz z wiadomościami o „dadaizmie". Próbował pisarz ten powodzenia i na deskach teatralnych. Powszechną uwagę zwrócił jednak dopiero wydaniem trzech książek: „Bizantyjskie Chrześcijaństwo", „Konsekwencje reformacji" i „Ucieczka od czasów obecnych".

Hugo Ball jest przeciwnikiem wojny i nieubłaganym krytykiem niemieckiej wojskowej mentalności. Krytyka niemiecka uważa go za następcę Jakóba Burkhardt'a. W prądach kultury ogólnoludzkiej orjentuje się on znakomicie i szuka nietylko dla Niemiec powojennych, ale i dla całej Europy podłoża porozumienia. Chrześcijanizm mógłby stać się budowlą, gdyby nie... liberalizm. Idee H. Ball'a pozytywnie są wyłożone szczególnie w „Ucieczce od czasów obecnych". Dąży w niej autor do odbudowania zrozumienia potrzeby autorytetu i absolutnej miary dla rzeczy, sądów ludzkich i czynów. Krytyka protestancka, jak i katolicka książki Ball'a uważa za... niefachowe. Uczeni natomiast świeccy podziwiają erudycję autora w rzeczach, związanych z nauką o dogmacie. O. Ball'u pisze się, mówi i dyskutuje bardzo obficie.



„MARIA CAPONI"

René Schickeles, znany beletrysta, wydał obecnie powieść p. t. „Maria Caponi". Jest to część pierwsza trylogji, której tytuł dla ucha niemieckiego brzmi pieszczotliwie: „Spadek nad Renem". Krytyka przesadza się w superlatywach! Jako próbki tych zachwytów niech posłużą takie opinje:

„Powieść Schickelesa jest twórczem arcydziełem".

Poszczególne zdania tej książki wywołują w pamięci Mozartowskie melodje".

„Błogosławiona to powieść między najlepszymi utworami współczesnej beletrystyki".

Tak w Niemczech pisze się... krytyki. Z powieściami bywa jednak gorzej.

REÜBENI

Nawet Maxa Broda powieść p. t. „Reübeni", choć ma przewyższać utwory Gobineau i Mereżkowskiego i nazywana jest „Meisterroman", nie może wzbudzić europejskiego zainteresowania. Niemiecka krytyka podkreśla, iż bohater tej powieści „Reübeni" jest „duchem o europejskiej wartości, gorące posiada serce i spokojną, rozważną głowę o politycznych koncepcjach". Jako powieść renesansowa, podobna jest do uproszczeń Jeske - Choińskiego.

„NIEBIESKIE KWIATY"

Gerhardt Hauptman przeszedł obecnie prawie zupełnie na beletrystykę. Ostatnie jego teatralne utwory nie przysparzają mu wawrzynów. Opowieść natomiast p. t. „Kacerz z Soany" w pewnych kołach wzbudziła zainteresowania. Teraz ukazała się książka p. t. „Niebieskie kwiaty". Będzie to unikat bibliograficzny. Wydano ją bowiem w 150 egzemplarzach tylko dla bibliofilów.

POLONICA W PRASIE NIEMIECKIEJ

„Die Literarische Welt" w dziale informacyjnym zamieszcza wiadomości o życiu literackiem w Polsce. Jest to godna uznania i wyróżnienia „dobra wola". Normalnie przecież prasa niemiecka nie interesuje się naszem życiem kulturalnem. Oddając sprawiedliwość dobrej woli redakcji „Die Literarische Welt", nie możemy się powstrzymać od drobnej uwagi: Wiadomości zamieszczane w tem piśmie czerpane są z wątpliwego źródła. Tylko o książkach pisarzy z pod jednego sztandaru informuje się ogół niemiecki, pozostawiając większość naszej literatury na stronie. Gdy tylko jednak zdarzy się okazja, by ośmieszyć nas w jakikolwiek sposób — wiadomość zjawia się natychmiast. Wystarczy zacytować artykulik p. t. „Chesterton, jako kawalerzysta" (Nr. 25). „Epizod" ten i u nas nie znalazł uznania. Ciekawe jest, co robi z arykulikiem tym prasa, która dotychczas entuzjazmowała się „bezstronnością" niemieckiego informatora? A może i ten artykuł ukazał się z prywatnych inspiracji tych panów?

N. N.

Do pana dyrektora Koszko

(List Wacława Grubińskiego w sprawie nadmiernego opodatkowania literatów).

Literaci są, jak dzieci: krzykliwi lecz bezbronni. Krzyk jest bronią tylko płci nadobnej: zasłania kobietę, jak prawdziwa tarcza, atakuje przeciwnika, jak prawdziwa lanca. Literat nie jest kobietą: umie być głośny, lecz bez korzyści dla siebie. Jest dzieckiem, gdy idzie o jego własne interesy i potrzebuje obrony. Otóż, w imię bezbronności literackiej pozwalam sobie zwrócić się niniejszem w słowie drukowanem do pana dyrektora wydziału podatkowego w Ministerstwie Skarbu, do pana Koszko, z nieśmiałą prośbą, aby w komisji prawnej, przygotowującej nowelizację różnych praw z dziedziny podatkowej, wziął w sprawiedliwą obronę niezaradnych literatów.

Płacimy podatki duże i za duże. Jeżeli nie zapłacimy w terminie wyznaczonych nam sum podatkowych, pieczętują nasze skromne biurka i oddają pod druzgocący młotek nasze bezcenne biblioteki. A cóż to jest — zabranie literatowi jego biurka i jego biblioteki? Równa się to zabraniu rzemieślnikowi jego warsztatu i jego narzędzi. A to znów równa się dla danego fachowca — uniemożliwieniu mu dalszego zarobkowania. Zaś uniemożliwienie obywatelowi zarobkowania prowadzi do zniszczenia podatku dochodowego. Licytowanie biblioteki, biurka i butelki atramentu w domu literata nikomu nie może wyjść na korzyść: ani literatowi, ani państwu. Ale nie o tem chciałem mówić, nie o nietykalności warsztatu pracy przez komornika. O tem napomykam ledwie nawiasowo. Idzie mi o same podatki literackie. Uważam wraz z moimi kolegami, że płacimy podatki tak niesłychanie wysokie, jak żaden inny obywatel w Polsce. Literaci płacą całe swoje życie podatek dochodowy od literackich zarobków, a potem, potem, kiedy już ten podatek zapłacili, odbiera im się cały ich majątek literacki.

Żadnemu ciału kodyfikacyjnemu w Europie — po za Bolszewją — nie przychodzi na myśl wywłaszczenie dzieci z fabryki, którą własnym wysiłkiem wzniósł fabrykant. Ale z własności literackiej wydziedzicza się spadkobierców literata, mimo że — jak mówi znakomity krytyk francuski, Paul Souday — jeżeli co bezspornie jest własnością, to właśnie dzieło literackie, bo nie da się pomyśleć jego powstanie z woli i pracy czyjejbądź po za wolą i pracą jego autora. Można zastąpić kogoś w stworzeniu np. wielkiej fabryki gwoździ, ale, proszę, niech kto wyręczy Sienkiewicza w stworzeniu „Trylogji", albo choćby tylko Bałuckiego w napisaniu „Grubych ryb"! A jednak w pięćdziesiąt lat po śmierci tych literatów państwo wydziedzicza ich spadkobierców z tych utworów. Dom, fabryka, sklep, warsztat mogą być dziedziczone w nieskończoność, ale dzieło literackie po pewnym czasie staje sią własnością wszystkich: każdy ma prawo je drukować, wystawiać, filmować. A za swojego utrapionego życia autor płaci normalny podatek od dochodu, jaki mu przynosi jego powieść, czy jego komedja! Czy to trochę nie za wiele? Czy to przypadkiem nie wygląda na prześladowanie literatury? Tej literatury, o której się mówi, że jest splendorem narodowym, że trzeba ją pielęgnować i protegować, bo ona świadczy o genialności i kulturalności narodu?! Żaden inny obywatel nie jest obłożony tak srogim podatkiem, jak literat. Niedość, że się znajduje na liście podatku dochodowego, ale w dodatku jego potomstwu odbiera się majątek, pozostawiony przez niego w jego pismach! Bardzo ciekawe, coby powiedzieli spadkobiercy np. fabrykanta papieru, na którym drukuje się książki, gdyby w pięćdziesiąt lat po śmierci założyciela fabryki ta fabryka została przekazana — wszystkim! *Wsiem, wsiem, wsiem!* Papiernicy całego globu zawołaliby, że to bolszewizm. Otóż, szanowny rządzie burżuazyjny wszystkich państw europejskich i amerykańskich, burżuazyjny dla wszystkich obywateli państwa, czemu postępujesz po bolszewicku w stosunku do jednej jedynej kategorji swoich obywateli, do literatów?

I podatek dochodowy i konfiskata majątku — to dwa grzyby w jeden barszcz! Wypada wybrać albo jedno, albo drugie. Skoro istnieje prawo wywłaszczania spadkobierców po literatach z ich utworów, niechże przynajmniej żywi literaci nie płacą podatku dochodowego od swoich zarobków literackich!

Z memorjałem tej treści obiecywali sobie literaci zwrócić się do pana dyrektora Koszko na mój wniosek w zarządzie Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich i w zarządzie Związku Autorów Dramatycznych. Ponieważ jednak w własnych sprawach praktycznych literaci są niepraktyczni, załatwiają wolno, co powinno być załatwione prędko, więc, powołując się na uchwały obydwóch wspomnianych zarządów, zwracam się tą drogą osobiście do pana dyrektora Koszko, aby był łaskaw w komisji kodyfikacyjnej wziąć wyłuszczone tu nasze dezyderaty pod uwagę i aby je postawił na porządek dzienny obrad.

Słuszność naszych żądań bije w oczy. Mamy nadzieję, że będą uwzględnione. Jesteśmy przekonani, że pan dyrektor Koszko w sprawie tak dobrej, a dla Skarbu Państwa tak finansowo błahej, nie odmówi nam swego poparcia.

Wacław Grubiński

ODZNACZENIE B. KOMENDANTA MILICJI MIASTA ST. WARSZAWY



Fot. Marjan Fuks

Dn. 30 lipca r. b. wojewoda Jaroszewicz w towarzystwie inspektora Szuchu oraz szefa Bezp. Kom. Rządu Sachlena, udekorował Złotym Krzyżem Zasługi Marcelego Łączkowskiego b. komendanta M. M. za zorganizowanie M. M. m. st. Warszawy oraz udział w rozbrojeniu okupantów w listopadzie 1918 r.



Jak znany architekt p. Descamps wyobraża sobie wielkie miasto przyszłości

Problemy nowoczesnego miasta

Problem dostosowania budowy wielkich miast do potrzeb i warunków współczesnego wielkomiejskiego życia nie przestaje zajmować szerokich kół architektów, a i w najszerszych kołach społeczeństwa budzi coraz żywsze zainteresowanie. Dowodem troski o racjonalne i skuteczne rozwiązanie tego problemu był także odbyty niedawno w Wiedniu Kongres urbanistyczny z udziałem specjalistów, reprezentujących rozmaite kraje Europy. Było to niejako konsilium uczonych „lekarzy - urbanistów", celem rozpoznania przyczyn choroby, trapiącej wielkie miasta i znalezienia środków zaradczych. Porozumienie uczestników przy djagnozie i etjologji złego nie nastręczało trudności. Wszyscy zgadzali się, że jest źle i że pacjentowi, t. zn, wielkiemu miastu, dokucza ciężka choroba. Natomiast trudniejszy był wybór lekarstwa. Proponowano rozmaite środki zaradcze, albowiem architektura posiada także swych Hipokratesów i Gallenów, allopatów i homeopatów. Obrady dowiodły, że na tę światową chorobę niema uniwersalnego lekarstwa. Trzeba brać na uwagę organizm każdego poszczególnego miasta, jego wiek, klimat, zwyczaje, charakter, gusta, a nawet kaprysy.

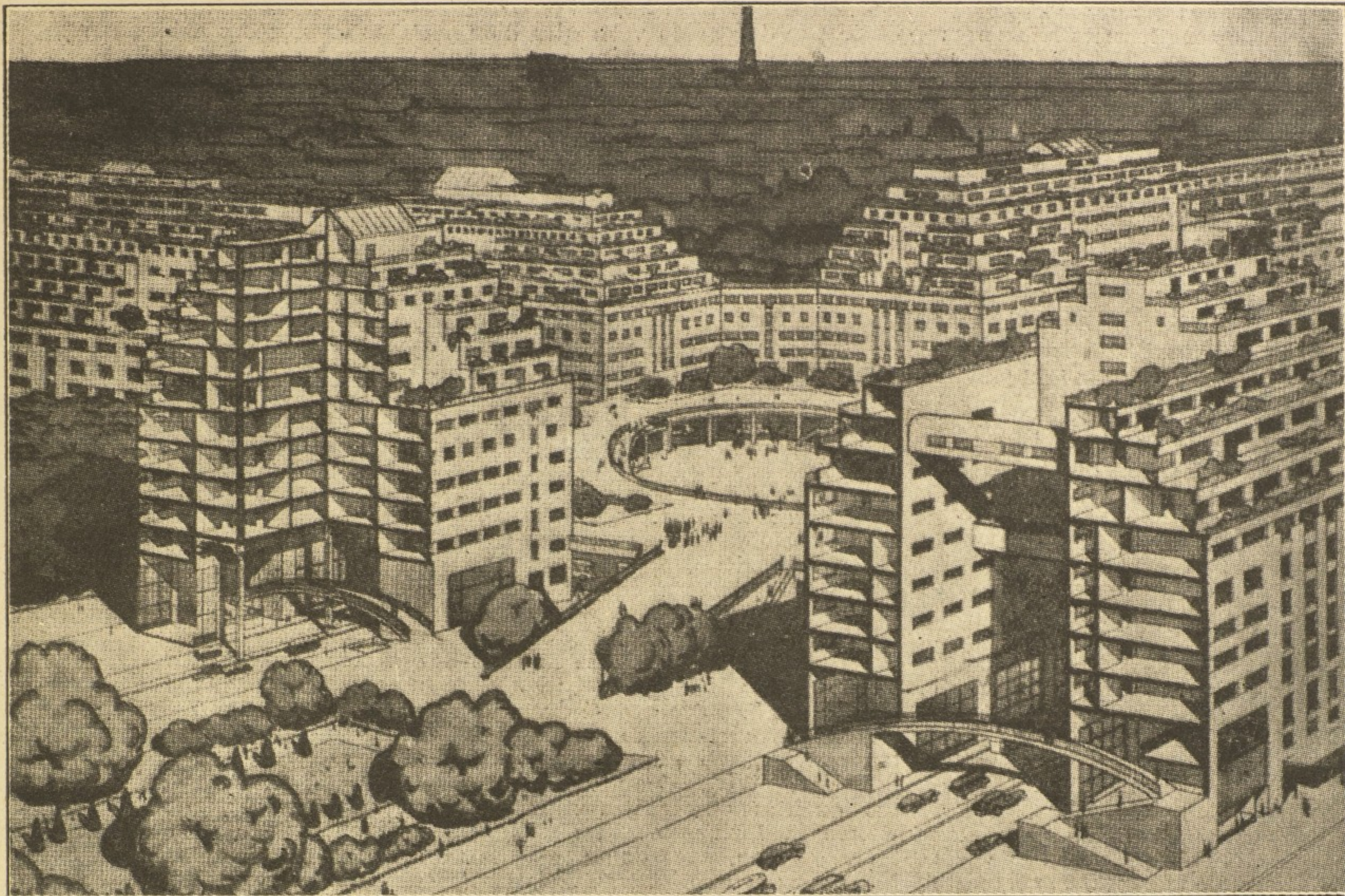
Z pośród pomysłów na pierwsze miejsce wysunął się oryginalny plan znanego francuskiego architekta, p. André Ventre, zbudowania wielkiego nowoczesnego miasta obok Paryża. Projektodawca sądzi, że o przebudowie Paryża nie można marzyć, gdyż w tym celu należałoby właściwie zupełnie zburzyć całe istniejące miasto. Wąskie, powstałe przed wielu wiekami uliczki nie mogą się przystosować do wymagań dzisiejszego życia ekonomicznego ani do dzisiejszych środków lokomocji. Wszystko, co przedsięwzięto do tej pory, jak wprowadzenie jednego kierunku jazdy, jezdnie okólne, sygnalizacja i t. d., okazuje się niewystarczającem.

Są to paljatywy, które coś niecoś łagodzą istniejące zło, które ułatwiają powołanym czynnikom władz ulicznego bezpieczeństwa opanowanie lepsze, niż dotychczas, wielkomiejskiego chaosu — ale nie jest to jeszcze radykalne lekarstwo. Chaos powstaje w dalszym ciągu, raz po raz ruch pojazdów stwarza zapory, wstrzymujące swobodną cyrkulację, a pisma poranne i wieczorne dzień w dzień pomieszczają długie listy wypadków samochodowych i ofiar w ludziach. Wszak statystyka dowodzi, że cyfra ofiar samochodowych w stosunku rocznym przekracza cyfrę ofiar tej czy innej epidemji. Paljatywy nie rozwiązują kwestji.

André Ventre znajduje więc inne, bardziej logiczne rozwiązanie. Należy rozszerzyć stary Paryż i wykorzystując jego okolice, zbudować nowe miasto podług nowoczesnych zasad. Najważniejszą kwestją jest uregulowanie ruchu. Trzeba zapewnić dostęp do domów i sklepów, zapewnić swobodne krążenie i pieszym i pojazdom. Dzisiejsze tempo życia rozwinęło niesłychanie ruch samochodowy, który zaczyna zagrażać bezpieczeństwu przechodniów. Jezdnia jednokierunkowa mogła wystarczyć dorożkom i konnym omnibusom, ale stała się niedorzecznością dla elementów nowego rytmu. Stąd wynika konieczność zapewnienia swobody ruchu samochodom i zabezpieczenia pieszych. Nie można zapomnieć również o potrzebie udostępnienia wystaw sklepowych, które przyczyniają się do rozwoju handlu i są wielką atrakcją dla przechodniów.

Aby zadość uczynić tym trzem koniecznościom, André Ventre wraz ze swym współpracownikiem p. Sauvage projektują powszechne zastosowanie zasady: ulice bez wozów, jezdnie bez pieszych. Przemawiają za tem dwa spostrzeżenia: Niema nic bardziej nieprzyjemnego dla spieszącego się przechodnia, który chce przejść na drugą stronę ulicy, niż szukanie zbiegu dwóch ulic i wyczekiwanie dogodnego momentu. Naodwrót, człowiek, jadący samochodem i zmuszony zatrzymywać się ciągle, aby przepuszczać pieszych, traci dobroczynne skutki pośpiesznej nowożytnej lokomocji. Jeżeli oddzielimy ruch pieszy od kołowego i zapewnimy im przez to swobodę i bezpieczeństwo, problem będzie rozwiązany.

Zrealizowanie tego planu nie przedstawia trudności. Przy budowie domów o kształcie piramid pozostaje pomiędzy niemi, a właściwie pod dwoma szeregami domów, wolna przestrzeń, z której można utworzyć jezdnię. Tym sposobem gdy wzdłuż właściwego frontu domów biedz będzie szeroka aleja dla pieszych, na tylnych frontach powstanie równoległa do alei jezdnia. Pomysł ma i tę dobrą stronę, że zabezpieczy mieszkańców przed kurzem, dymem i hałasem. Piesi mogą bez żadnej obawy przechodzić wszędzie na drugą stronę ulicy; dwukierunkowe jezdnie, utworzone pod domami, pozwalają na swobodny przejazd sześciu wehikułów w każdą stronę. Na skrzyżowaniach jezdni wystarczy podnieść poziom ulic o parę metrów i utworzyć poniżej jednokierunkowy tor. Pod alejami biegłyby



Projekt miasta przyszłości, według planów pp. André Ventre i Sauvage'a

linje „metra" z częstemi przystankami. Specjalne mostki ułatwią przejście z jezdni do alei. Domy i sklepy będą miały dwa wyjścia, jedno dla pieszych od alei, drugie dla przyjezdnych od strony jezdni. Obok toru jezdni będzie można pomieścić urządzenia kanalizacyjne, przewody gazowe, elektryczne, telefoniczne, zapewniając do nich dogodniejszy przystęp, niż obecnie.

Tak się przedstawia jeden z projektów unowocześnienia wielkiego miasta.

Zupełnie inny plan przedstawia również francuski architekt, p. Descamps. Oczywiście i on zgadza się na to, że jedynem wyjściem jest budowa obok starego nowego miasta, przystosowanego do wymagań czasu, lecz jego projekt różni się bardzo znacznie od projektu pp. André Ventre i Sauvage'a. Według planu p. Descamps, ulice nowego miasta winny być oddalone od siebie od 400 do 1000 metrów. Nieliczne skrzyżowania utworzą place do okrężnej jednokierunkowej jazdy. Zbudowane wzdłuż ulic wysokie, dwudziestopiętrowe domy różnią się tem od amerykańskich „drapaczy nieba", że jedną stroną wychodzą na szerokie, conajmniej 40-metrowe ulice, drugą zaś na ogromne wolne przestrzenie, przeznaczone na parki i place sportowe.

W przeciwieństwie do poprzednio wspomnianych architektów, którzy dążyli do rozdzielenia ruchu pieszego i kołowego, p. Descamps projektuje ruch na jednej drodze, lecz jezdnia znajduje się tutaj na środku ulicy i jest zarezerwowana tylko dla pojazdów, co pozwala im rozwinąć maksymalną szybkość ruchu. Chodniki z każdej strony jezdni są wzniesione o sześć metrów ponad jej poziom, co zapewnia przechodniom całkowite bezpieczeństwo i oddziela ich od ruchu pojazdów. Co kilkanaście kroków przeciwległe chodniki są połączone zapomocą mostków, które także zapewniają swobodny dostęp do garaży, stacji autobusów i „metrów". Na poziomie jezdni, pod chodnikiem znajduje się druga, węższa jezdnia, na której mogą się zatrzymywać pojazdy, nie tamując ogólnego ruchu na głównej linji. Tam też znajdują się magazyny, pracownie i t. d.

Zwiększający się przyrost ludności w miastach zmusza do szukania coraz nowych sposobów rozbudowy miast. Jak wiadomo, szereg architektów, przez czysto ludzką skłonność, skierował najpierwsze wysiłki ku linji najmniejszego oporu, ku tworzeniu miast-ogrodów, dzielnic willowych i t. p Przeciwko temu bardzo energicznie wystąpił znany urbanista francuski Le Corbusier. Oświadcza on, że reformę budowlaną trzeba rozpocząć od samego środka miasta, jest to bowiem oś, od której zależy rozbudowa całości. Zdaniem Corbusiera, centrum wielkiego miasta, które jest węzłem wszystkich interesów, węzłem gospodarczego życia i w którem skupia się największy ruch, to centrum musi być przeznaczone tylko dla pracy i interesów. W centrum miasta powstaną „drapacze nieba", przeznaczone na biura, urzędy, magazyny i t. p., odległe jeden od drugiego o czterysta czy więcej metrów i oddzielone od siebie wielkiemi, wolnemi przestrzeniami. W ten sposób uzyska się równocześnie gęstość lokali użytkowych, powiększenie przestrzeni obsadzonych roślinnością i łatwość dostępu i cyrkulacji. Życie rodzinne przeniesie się całkowicie na peryferje śródmieścia i dalej w okolice podmiejskie, do miast - ogrodów. W nich widzi Le Corbusier jedyne racjonalne, hygieniczne i społeczne rozwiązanie problemu mieszkaniowego i problemu budowy wielkich miast.

Ścierają się poglądy i argumenty; za tą opinją to, za tamtą coś innego przemawia. Nie można dziś jeszcze przewidzieć, w jakim kierunku pójdzie zasadnicza reforma systemu zabudowy wielkiego miasta. I jedno tylko nie ulega wątpliwości. to mianowicie, że wielkie miasta, jakie dziś widzimy, niebawem staną się zabytkami przeszłości. W pośród nich, czy obok nich wyrosną nowe wielkie środowiska, miasta przyszłości, mądrze, logicznie i celowo planowane i organizowane przez nowoczesną architekturę.



St. I.

Uprzejma żona

Kazio miał za żonę najuprzejmiejszą osobę pod słońcem. Chińska uprzejmość była niczem wobec uprzejmości Iwci, z grzeczności dla osoby, z którą w danej chwili rozmawiała, była w stanie obgadać nawet najlepsze ze swych przyjaciółek. Na ulicy kłaniała się wszystkim znajomym pierwsza, nawet żebrakom odkłaniała się z czarującym uśmiechem, nie dając im zresztą nic: „Bo to także ludzie, których nie trzeba upokarzać", a gdy przypadkiem spotkała na ulicy którąś ze swoich przyjaciółek, zatrzymywaniom i komplementom nie było nigdy końca.

— Muszę cię pocałować, — rzekła raz do zgrzanej i zagotowanej przyjaciółki, którą przypadkiem spotkała na spacerze, — ale tak cudnie wyglądasz. Popatrz Kaziu, jakie to śliczne to małe. No, kiedy przyjdziesz do nas, moja najdroższa?

— Mogę przyjść dzisiaj, mam czas, — odrzekła przyjaciółka.

Przerażenie odmalowało się w oczach uprzejmej Iwci.

— Dzisiaj! — jęknęła w panice, — nie wiem, czy będę w domu... obiecało się do mnie kilka osób. Ale za tydzień, za tydzień, moja najdroższa. Albo dla pewności od tego czwartku za dwa tygodnie. Tylko mi nie zrób zawodu. Żebyś ty wiedziała, jak ty teraz wyglądasz! Dowidzenia, dowidzenia, moje cudo.

— Poco zawracasz w głowie komplementami tej brzydkiej starej pannie? — rzekł mąż po odejściu przyjaciółki. — Narażasz się tylko na śmieszność.

— Nie znasz się na prawdziwej uprzejmości, — odparła Iwcia — muszę jej wynagrodzić to, że jestem o tyle od niej ładniejsza.

Kazio pomyślał, że błędnem jest twierdzenie, „jakoby natura nie znosiła próżni" i dla odmiany nic nie odrzekł.

— Muszę sobie kupić nowy kapelusz, — westchnęła po chwili żona, — nie chce mi się, ale muszę to zrobić dla ciebie, ty tyle dla mnie robisz. A wiem, że tego, co mam na głowie, nie lubisz.

— Ależ przeciwnie, — rzekł mąż gorąco, — bardzo cię lubię w tym kloszyku. Wprawdzie zasłania ci twarz, ale to właśnie dodaje pewnego smaku całej postaci.

— Dziękuję za taki smaczek, — rzekła kwaśno Iwcia. — O tu, tu, są ładne kapelusze.

— Pani dobrodziejka pragnie słomkowy kapelusz? — zapytała właścicielka magazynu. — My nie trzymamy słomy. Teraz jest ciepło, owszem, to za miesiąc będzie zimno. — Erna, pokaż no kapelusiki filcowe, zaręczam, że to wyjdzie na to samo, co słoma. Pani dobrodziejka myszli, że do zimy daleko? A mianowicie siostra była kilka tygodni temu w Paryżu, mówiła, że cały Paryż chodził w lipcu w welurze i w filcu, a także pilśń jest modny. Rue de la Paix wygląda, jak jeden pilśń.

— Chodź, — rzekł mąż, siląc się na dowcip, — masz przecież kapelusz nad głową, nie musisz koniecznie kupować drugiego.

— Nie mogę, — wyszeptała kobieta — tego się nie robi, muszę przez uprzejmość dla tego sympatycznego sklepu kupić którąś z tych ohyd. Proszę cię, zapłać, bo to głupio wygląda, jak kobieta płaci. Widzisz, jak ja zawsze myślę o tobie.

Wychodząc wraz z pudłem, Iwcia zrobiła gorące shake-hand z właścicielką magazynu, od drzwi zawróciła i podała jeszcze rękę trzem sklepowym pannom.

— Widzisz, — rzekła do męża — jakim tanim kosztem robi się sobie na całe życie przyjaciół.

Po wyjściu uprzejmego gościa pani Milimifkier zwróciła się do męża:

— Gdzie się u tej pani rozum mieści? Ona wszystkim podała rękę, cały berzonał śmieje się z niej obecnie, jak suseł.

Kiedyś w nocy, gdy Iwcia spała snem uprzejmego człowieka uśmiechnięta słodko, jak nowonarodzone prosię, coś zahałasowało w sąsiednim pokoju i z wierzchołka szafy spadł ze stukiem złodziej, który właśnie przeszukiwał dokładnie cały pokój. Ale i w tym wypadku wrodzona uprzejmość tej wyjątkowej kobiety wzięła górę nad uczuciem strachu.

— Czy pan złodziej? — zapytała łagodnie. — Zaręczam panu, że tu niema nic, coby się panu mogło przydać. Bardzo pana przepraszam, ale jak pan zaraz stąd nie ucieknie, to będę zmuszona zawołać po męża. Niech pan się nie dziwi, że jestem taka niegościnna, ale rzeczywiście wybrał pan dziwną porę do wizyt.

Pan złodziej, zelektryzowany słowem „mąż", czmychnął zapobiegliwie przez okno, zaopatrzywszy się przedtem w kilka damskich przedmiotów, a także w złoty zegarek.



— Niema to, jak uprzejme odezwanie się do człowieka, — rzekła nazajutrz Iwcia do męża. — Wprawdzie wziął zegarek, futro i mydło, ale zato zapomniał mnie zamordować.

Któregoś dnia Iwcia przybiegła spłakana do swojej przyjaciółki.

— Zdradziłam Kazia, — jęknęła, — mojego najdroższego Kazia, umrę, albo się zastrzelę.

— Jakim sposobem? — zapytała przyjaciółka, mocno zainteresowana, — opowiedz wszystko od początku.

— Nie powiem ci nazwiska tego pana, bo to byłoby niedyskretnie z mojej strony, dość na tem, że przychodził do mnie często popołudniu na herbatę, wtedy kiedy Kazio jest w klubie, i użalał się nad moim losem. Przez dobre wychowanie przytakiwałam jego ubolewaniom nademną, chociaż wiesz dobrze, jak mi jest właściwie dobrze na świecie, i nawet pamiętam, iż mu powiedziałam tego dnia, „że się czuję, jak aeroplan zamknięty w klatce". Bardzo mu się to porównanie podobało i zaczął mi się zwierzać ze swoich uczuć. Dziś dopiero widzę, jakie to było zwierzęce z jego strony. „Wiem, rzekł, że nie mogę mieć żadnych szans u pani, nie jestem ani młody i ładny, ani stary i bogaty, żeby panią rozwieść i uwieść ...daleko".

— Kto panu powiedział, że pan nie jest stary i... przystojny, — zapytałam uprzejmie, — a co do majątku, to gdzie pan widzi tych miljarderów?

— Więc mam szanse — zawołał — i nim się spostrzegłam, zostałam pocałowana przez niego na linji usta - nos. Miałam ochotę obetrzeć chusteczką to miejsce, bo nie lubię, żeby mnie ktoś całował temi samemi ustami, któremi przed chwilą jadł kanapkę, ale nie zrobiłam tego przez delikatność, i tylko powiedziałam żałośnie: „Dlaczego mnie pan całuje? Co ja panu zrobiłam? Dlaczego mi pan tak dokucza?"

— Więc to, co dla innych kobiet byłoby szczęściem, pani nazywa dokuczaniem — rzekł z głębokim bólem. — Widzę niestety, że pani ma do mnie idiosynkrazję, tak, jak niektórzy mają do raków lub poziomek. Brzydzi się pani mną. Dobrze, pójdę sobie, nie będę pani robił przykrości swoim widokiem. — Potem zakrył oczy rękami i jęknął: — Nic to panią nie wzrusza, że mężczyzna przez panią płacze?

— Łez wprawdzie nie widziałam, ale uwierzyłam mu na słowo, miał głos nabrzmiały od łez. Moje dobre serce nie wytrzymało tego widoku, wstałam i pocałowałam go w głowę. Dalszego ciągu tej tragicznej dla mnie przygody nie będę ci opowiadać. Ale powiedz sama, co miałam robić? Być nieuprzejmą i niegościnną u siebie w domu?

Magdalena Samozwaniec

Z WYWCZASÓW LETNICH W WSCHODNICH KARPATACH



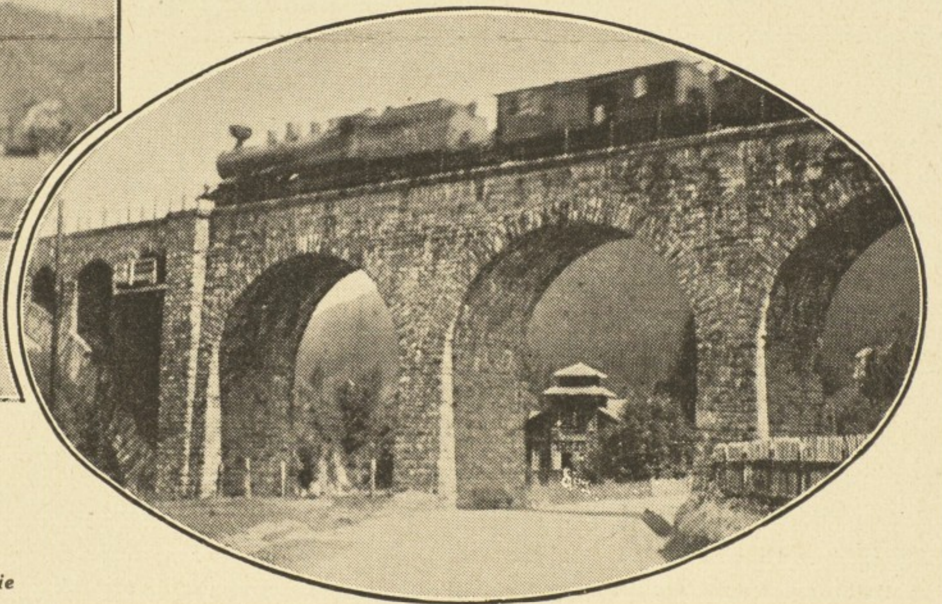
Kościół grecko - katolicki o ciekawej architekturze drzewnej w Tatarowie

Cerkiew rusińska w Jamnie: architektura niezmiernie interesująca





Kapliczki przydrożne we Wschodnich Karpatach



Most w Worochcie



Przed domem huculskim na wywczasach

Fot. am. W. Batycki



Hucuł trudniący się rzeźbiarstwem oraz inkrustacją

TEATRY PROWINCJONALNE W PRZEDEDNIU SEZONU JESIENNEGO

Sezon ostatni był nieomal na całej linji niepomyślny. Wszędzie — z wyjątkiem Poznania — rosnące deficyty, tu i owdzie wprost bankructwa. Katowice, Łódź... W Łodzi powtórzyła się niewiadomo który raz ta sama historja. Zdawało się, że objęcie dyrekcji przez p. Szyfmana zamknie okres półwiekowej szarpaniny, zmian i niewypłacalności. Jeszcze raz braliśmy udział w uroczystej inauguracji, słuchaliśmy gorących bankietowym zapałem przemówień... Teraz pensje aktorów niepopłacone, z Magistratem przykre targi o pokrycie nieprzewidzianego niedoboru. Nawet administracyjna magja p. Krywoszejewa nie pomogła. Ogromne sumy, łożone na teatry przez gminy, nie wystarczyły. Tu i ówdzie państwo dodawało grosz wdowi. Również nadaremnie. Czy przynajmniej, wzamian za te ofiary, osiągnięto pomyślniejsze wyniki artystyczne, kulturalne? Tu znów należy wymienić: Redutę. Zespół p. Osterwy wziął sobie za zadanie objazd mniejszych miejscowości kresowych, krąży po okrainach wschodnich i zachodnich z kilkoma sztukami, dobrze wybranemi i starannie granemi przez młode siły.

Teatr Poznański, pod wytrawnem kierownictwem pp. Szczurkiewiczów, utrzymywał repertuar według ustalonych wytycznych. Gdzieindziej wszystko było dorywcze: i skład zespołów, i wybór sztuk. Zaiste, przed rozpoczęciem nowego sezonu zapytać się godzi, czy ta dobra wola i poświęcenia materjalne prowadzą do celu? Teatr jest niewątpliwie placówką kulturalną wysokiej wartości. Ale tylko dobry teatr. Lichy teatr nie jest wart, by tracono nań fundusze publiczne i marnowano wysiłki.

Zespoły naszych teatrów prowincjonalnych są przeważnie słabe. Żywotniejsze talenty wyławia Warszawa. Zarówno talenty aktorskie, jak reżyserskie. Braknie również odpowiednich dyrektorów. Kierownicze stanowiska zajmują nazbyt często spekulanci, nie posiadający zgoła po temu kwalifikacji, ani intelektualnych, ani moralnych. Zarządy miast okazują w tej mierze zadziwiającą lekkomyślność. Związek Artystów Scen Polskich, obarczony nadmierną liczbą członków bezrobotnych, daje się powodować zbytniej kompromisowości, byle tylko garść aktorów, pozbawionych pracy, gdzieś ulokować. Braknie w tem wszystkiem świadomej planowości, bez niej zaś nie może być mowy o dodatnich wynikach.

Wystarczy przejrzeć repertuar większości poszczególnych teatrów prowincjonalnych w sezonie ubiegłym. Co za bigos! Jaka bezładna mieszanina! Trudno odmówić słuszności Winawerowi, gdy twierdzi, że w tych warunkach kinematograf góruje pod względem znaczenia kulturalnego nad tego rodzaju rzekomemi „przybytkami sztuki".

Niestety! Nic nie wskazuje, aby w nadchodzącym sezonie miało zmienić się na lepsze.

Nasuwają się uporczywe pytania:

— Jakie z prowincjonalnych miast polskich są w stanie utrzymać stałe teatry?

— Czy niektóre z magistratów prowincjonalnych nie powinny łączyć się, aby wspólnemi siłami tworzyć zespoły, mogące obsługiwać dwa miasta? Byłoby to ważne zwłaszcza dla kosztownych imprez operowych i operetkowych.

— Czy dla pomniejszych miast nie byłoby trafniej tworzyć dobrze zorganizowane zespoły objazdowe, wzorem Włoch i Francji?

W budżetach naszych gmin miejskich sumy, łożone na subwencje teatralne, są nadmiernie, nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do funduszów, przeznaczonych na cele naukowe, na pomoc literaturze, na biblioteki publiczne, na popieranie sztuk plastycznych. Jeśli te subwencje teatralne nie spełniają swoich zadań, to jest, nie są w stanie stworzyć dobrych teatrów, jeśli publiczność tych subwencjonowanych teatrów unika, znaczy, że szlachetne intencje zawodzą, że w realizowaniu ich tkwią zasadnicze błędy. Wracamy do projektu, który wysuwaliśmy przed rokiem. Związek miast winien zwołać w tej sprawie specjalną międzymiastową konferencję, zaprosić do udziału w niej, jako fachowców, przedstawicieli Związku Autorów Dramatycznych Polskich, Związku Dyrektorów i Związku Artystów Scen Polskich oraz wybitniejszych krytyków teatralnych. Wśród wielu innych spraw, które w Polsce domagają się rewizji, sprawa teatralna zajmuje nie ostatnie miejsce.

skrz.

LISTY ZE WSI

O chłopstwie naogół posiada inteligencja z miast wyobrażenie dosyć literackie. Chwali się lub gani tę klasę społeczną, zależnie od nastroju politycznego, ale jakim jest istotnie chłop polski obecnie, wie się przeważnie niewiele. Stwierdza to świetny pisarz i obserwator wsi podhalańskiej, Władysław Orkan. W swoich „Listach ze wsi" otwiera on pole do refleksji: materjał bowiem obserwacyjny, jaki przedkłada, nie koloryzuje chłopa. Orkan zna wady duszy chłopskiej. Rozumie potrzeby materjalne. Jego wyobrażenia o chłopie nie są zaprawione jakąkolwiek ideologją polityczną. Współczuje nędzy, zna klęski żywiołu, praca chłopska jest mu blizka, a wagę jej ocenia lepiej, niż jakikolwiek obserwator z inteligencji, bo sam pochodzi z tej warstwy. Otwarcie wytyka wady chłopskie: pieniactwo, brak sentymentu dla lasu, interesowność w małżeństwie, obojętność dla starych rodziców. Oryginalnie oświetla takie zjawiska, jak „kradzież wśród chłopów". Szkoła wiejska jest też przedmiotem ciekawych uwag. Mówiąc o lekach i leczeniu, Orkan opowiada taką charakterystyczną anegdotę: „Pewien aptekarz wyrabia „maść na wole". Środek ten ma wielką wziętość w okolicy. Nie może go kupić chory, bo nie posłużyłaby mu ta maść. Musi pójść do apteki ktoś inny. I aptekarz, gdy pudełko z tą maścią wydaje, nie może go wręczyć wprost kupującemu, lecz mu je kładzie na ziemi i kopie w stronę kupującego.

— I pan to czyni — spytałem aptekarza.

— A jakże. Inaczejby nie kupowali...."

Chłop zresztą o lekarzach ma opinję nie najlepszą. Na adwokata nie pożałuje, ale na doktora zawsze mu pieniędzy szkoda.

„Listy ze wsi" Władysława Orkana są niezwykle cennym nabytkiem orjentacyjnym do zrozumienia psychologji i nawet potrzeb chłopskich. Książkę tę powinien przeczytać każdy inteligentny polak. Jest to przecież głos człowieka, miłującego lud, jak swoją warstwę społeczną. Politykom poleca się specjalnie przeczytanie „listu o niedorosłych". Chodzi w nim o powszechne, tajne, równe prawo wyborcze, którym obdarowano chłopów. Czy są z tego zadowoleni? Czy rozumieją wagę polityczną? Wł. Orkan pisze:

„Do nadleśniczego przychodzi chłop prosto z głosowania:

— Czego sobie życzycie?—ten pyta.

— Przyszedłech — mówi — po drzewko.

— Po jakie drzewko?

— Ha — no, jakie ta już pan nadleśniczy uwazą: ta choć koło dwudziestu cali na pniaku...

— A za cóż to?

— Bo ja haw przy wyborach puścił głos na pana..."

Obrazek ten znakomicie charakteryzuje uświadomienie wsi o „równem, powszechnem, tajnem i bezpośredniem prawie wyborczem". Wogóle listy Orkana dostarczają wiele ciekawych faktów z życia wsi polskiej!

f.

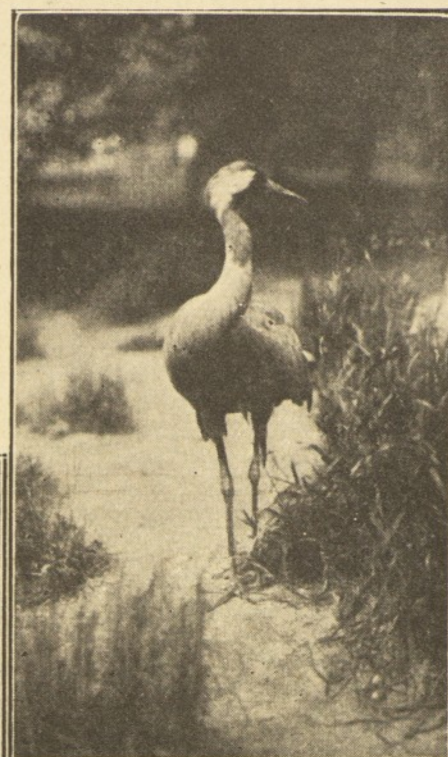


Z MIEJSKIEGO OGRODU ZOOLOGICZNEGO W WARSZAWIE

W ALEI 3-GO MAJA Nr. 13.



Szympanse z Konga belgijskiego „Presio" i „Bena"



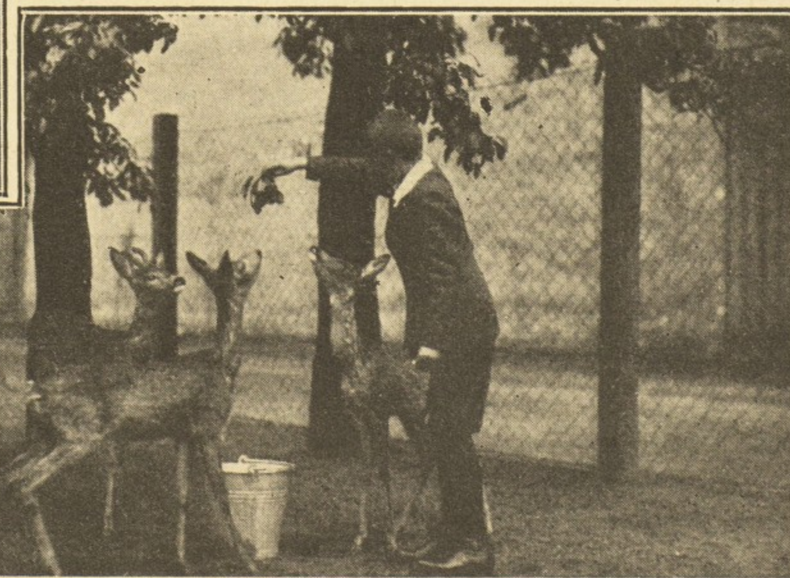
Żóraw Krumuś, dar kanc cyw. pana Prezydenta Rzplitej



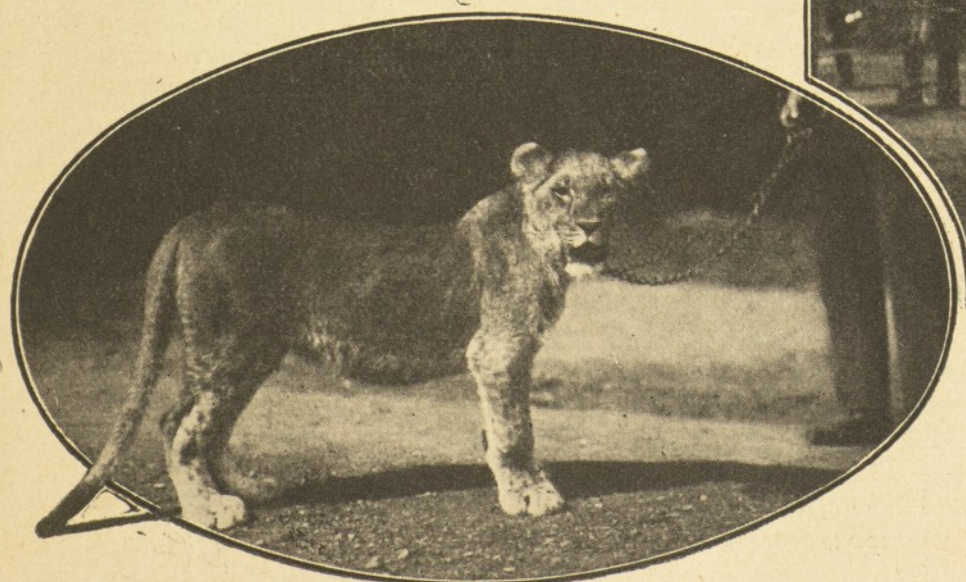
Żarłoczny pelikan z Pińszczyzny, chwytający rybę w swoją torbę



Jeleń oswojony, Maciuś



Sarny



Lwica Nubijska, wychow. ogrodu

Tydzień sportowy

Nowa ofiara Zamarłej Turni — Ofenzywa „postępu" na staroświeckie Tatry — Słonimski o sporcie — Warszawa pływa i kopie

Kto z polskich taterników nie zna tej pięknej i groźnej nazwy: „Zamarła Turnia"?! Niepozornie wyglądający z Zakopanego „wirsycek" ginie w otoczeniu takich olbrzymów, jak: Kozi Wierch, Świnica, Granaty i t. d. W olbrzymiej grani szczytów, otaczających Czarny Staw Gąsienicowy, zaznacza się „Zamarła" niepozornym na oko, niezbyt ostrym zębem skalnym.

Takich „pozorów" mamy w Tatrach sporo.

Wspaniała i groźna potęga ściany odsłania całą swoją pionową nagość skalną od Pustej dolinki po stronie doliny Pięciu Stawów Polskich, jednej z najpiękniejszych w Tatrach.

Niezbyt duża ściana, bo wynosząca zaledwie sto kilkadziesiąt metrów, ma swoją wspaniałą i ponurą historję w dziejach taternictwa.

Odkryta i zdobyta po raz pierwszy przez wielkiego improwizatora - spinacza, Henryka Bednawskiego, należała przez długie lata do najtrudniejszych problemów turystycznych.

Obecnie w jej arystokratycznem towarzystwie znalazły się takie szczyty, jak Mały Lodowy i Ostry Szczyt. Zamarła jest szczytem marzeń wielu taterników.

Porywają się na nią zwykle pod koniec swojego sezonu turystycznego, gdy pełnia formy i treningu spinaczkowego dochodzi do kulminacyjnego punktu.

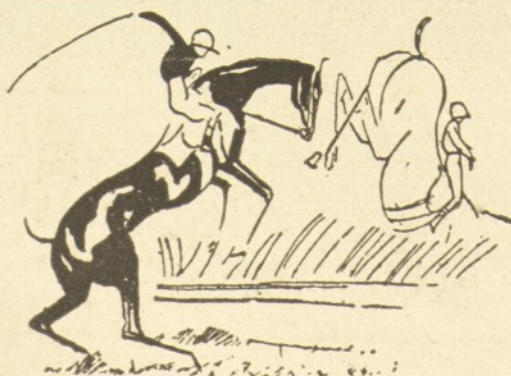
Naga, prawie prostopadła Zamarła, pocięta wąskiemi rysami, gzymsami i „półeczkami", wymaga całej umiejętności turystycznej, aby ją „pokonać".

Trudności tego wejścia powiększa brak dogodnych i pewnych miejsc do asekuracji. Dlatego też nigdzie w Tatrach nie wbito tyle haków asekuracyjnych, co na Zamarłej.

Lecz hak nie daje absolutnej gwarancji. Tragiczną ofiarą Zamarłej był świetny, młody turysta Bronikowski, który odpadłszy od jednej z podszczytowych przewieszek, zabił się na miejscu ,padając na piargi Pustej dolinki.

W tych dniach poniósł tragiczną śmierć jeden z doskonałych spinaczy młodego pokolenia, T. Szczuka, utalentowany malarz i architekt.

W chwili, gdy to piszemy, brak jeszcze szczegółów o wypadku.



O ile nam wiadomo, Szczuka pokonał już raz Zamarłą południową ścianą. Było więc to drugie jego przejście. Niedostępna ściana porwała nową ofiarę z szeregów młodych turystów polskich.

* * *

Na Tatry polskie uczyniono w ubiegłą niedzielę krzykliwą i pełną dymu ofenzywę samochodową.

Mianowicie krakowski klub automobilowy wpadł na pomysł zorganizowania wyścigu tatrzańskiego Zakopane — Morskie Oko.

Przy jednej z serpentyn wybudowano specjalnie na ten wyścig trybuny na kilkaset osób, dla podziwiania zręczności automobilowych.

Sam pomysł tego rodzaju wyścigu, oryginalny i śmiały, czyni jednak krzywdę niewielkim stosunkowo Tatrom.

Rozpętanie jarmarku samochodowego w sercu gór, które są dla nas uosobieniem majestatu, ciszy i pierwotnej natury, jest nieprzyjemnym dysonansem w naszym świadomie prostym i prymitywnym stosunku do dzikiej, wspaniałej przyrody tatrzańskiej.

Istnieje podobno projekt (w związku z Parkiem Narodowym) zamknięcia wjazdu dla samochodów do Morskiego Oka i zatrzymywania ich na przedostatnim kilometrze.

Pomysł doskonały i zupełnie słuszny.

Ryki samochodów, które się słyszy obecnie na szczycie Rysów, czy Międzszowieckich, nie należą zupełnie do przyjemności turystycznych.

Dosyć tych wrzasków „cywilizowanych" nasłucha się ucho w mieście. Niechże przynajmniej ten nieduży zakątek tatrzański wolny będzie od tej smrodliwej kakofonji.

Tembardziej dziwnem się wydaje, że Sekcja Ochrony Tatr przy Polskiem Towarzystwie Tatrzańskiem dopuściła do tego rodzaju wyścigu, który jest już szczytem orgjastyczności samochodowej.

A jeszcze te trybuny!?

W swoim czasie Tatrom groziło wielkie niebezpieczeństwo w postaci projektu wybudowania kolejki na Świnicę! Pomysł ten zwalczano zaciekle i zwalczono nareszcie przed wojną.

Obecnie grozi im nowy „żywioł" — samochodowy, daleko trudniejszy do zażegnania. Jeżeli tak dalej pójdzie, niedługo będziemy mieć wyścigi na Halę Gąsienicową, a może i do Czarnego Stawu!

Ciasno się robi na świecie, wrzaskliwie i smrodliwie!

* * *

Sport wszedł na usta i pod pióra literackie.

„Na pół żartem, na pół serjo", o sporcie, sportowcach i rekordach pisze pewien literat: „Nie wiem właściwie, o co chodzi sportowcom. Jeśli chodzi o zdrowie, to poco rekordy? Jeśli chodzi o rekordy, to dlaczego przestrzegają tak amatorstwa?

Odebranie tak zdrowego dopingu, jak solidny zarobek, nie może wyjść na dobre".

Kwestja jest otwarta! I zdaje się, że długo jeszcze wbrew naiwnym poglądom niektórych sprawozdawców sportowych, nie doczekamy się jej „zamknięcia".

Pisarz ten w swoich „cięciach", zadanych sportowi, zapomniał tylko o jednym, może najważniejszym czynniku, jakim jest walka i zwycięstwo w zawodach sportowych.

Wbrew swemu dawnemu poetyckiemu wyczuciu uroków sportu, który dał mu w swoim czasie temat do napisania wiersza p. t. „Rekord", obecnie odbiera wszelki sens rekordom.

Rzeczywiście, że w porównaniu z talentem sprinterskim ratlerka, czy szybkością światła... nieosiągalne dziesięć sekund na 100 metrów jest bardzo zabawnem marzeniem, lecz nie o bezduszną cyferkę chodzi w sporcie, tylko o walkę z niedoskonałością własnego ciała! O dodatni wpływ sprawności fizycznej na psychikę człowieka i o zdrowe ciało doprowadzone do maksimum swoich wrażliwości organicznych. Że zawody sportowe staną się kiedyś zajęciem zawodowców, nie wątpimy zupełnie. Wskazuje na to ogólne „napięcie kierunkowe" w sporcie współczesnym. Nie przeszkodzi to jednak istnieniu typów czystych sportowców, którzy nie dla pieniędzy i rekordów pielęgnować będą swoje ciało w ćwiczeniach sportowych.

* * *

Warszawa w ubiegłą niedzielę pływała i kopała.

Nowa pływalnia A. Z. S.-u w parku Skaryszewskim odkręciła nareszcie ten „kureczek", z którego wypływał wąski dotychczas strumyczek naszego sportu pływackiego.

Na starcie mistrzostw Polski w pływaniu stanęło 200 zawodników! Liczba imponująca, jak na nasze „szczury lądowe".

W pierwszy dzień zawodów, w sobotę padły cztery rekordy polskie: 100 m. na wznak pań — p. Kajzerówna (Ginowiec) 1 m. 48.8 s.

1000 m. pań — p. Trattowa (Polonia) 21 m. 48 s .

100 m. na wznak panów — Schönfeld (Jutrzenka) 1 m. 36.6 s. i 1500 m. panów — Kratechwila (A. Z. S.) 26 m. 38.9 s.

W piłce nożnej urozmaiceniem dotychczasowych, systematycznych spotkań ligowych był rewanżowy mecz międzymiastowy Warszawa — Gdańsk. Poprzednie spotkanie rozegrane w Gdańsku skończyło się zwycięstwem Warszawy w stosunku 4 : 0.

Rewanż przyniósł reprezentacji niezwykły wynik 6 : 0. Niezwykły dlatego, że zrobiwszy do pauzy 6 bramek, warszawiacy znudzili się meczem i po przerwie wyszli na 0 : 0.

J. M. R.



Z TEKI KARYKATUR CZERMAŃSKIEGO



Parę słów...

Świetne wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie „Kraj lat dziecinnych", przeznaczone, jako czytanka, czy też wypisy dla I-ej klasy gimnazjalnej, które spotkało się z entuzjastycznem przyjęciem całej prasy literackiej i fachowej, wychodzi niebawem dla klasy II gimnazjów i szkół realnych, pod tytułem „Będziem Polakami".

Autorowie, względnie organizatorowie tej olbrzymiej pracy, profesorowie Dr. Juljusz Balicki i znany poeta, profesor Stanisław Maykowski, trzymają się w pracy nad II-gim tomem tej samej zasady, którą posługiwali się w „Kraju lat dziecinnych". Oto ułożona celowo syntetyczna całość tomu rozdzielona zostaje przez profesorów pomiędzy najlepszych pisarzy polskich w ten sposób, iż każdy z pisarzy dostaje do opracowania temat, leżący na linji jego upodobań.

W tomie II-gim p. t. „Będziem Polakami" pracują najtęższe pióra polskie od Świętochowskiego, Zakrzewskiego, — do najmłodszych, więc Wołoszynowskiego. Ustępy prozy przerywane są ustępami poezji, stworzonemi specjalnie dla młodzieży przez wszystkich prawie z pośród tworzących obecnie poetów polskich.

Jak się dowiadujemy, plan wypisów obejmuje jeszcze tom III i IV dla dwóch klas następnych. Stwierdzić należy, że o ile pp. Balicki i Maykowski przeprowadzą do końca swe zadanie, oraz o ile wydawnictwo wytrwa do końca w powziętej raz inicjatywie, to młodzież polska i literatura nasza pedagogiczna otrzyma rodzaj podręczników, jakich niema dotąd w żadnej pedagogicznej literaturze świata.

———

Znakomity komentator Słowackiego, dziekan uniwersytetu lwowskiego, profesor Juljusz Kleiner równocześnie z pracami swemi nad Słowackim, oraz z zajęciami pedagogicznemi, wykańcza odpowiedzialny zarys literatury polskiej dla wielkiego podręcznika literackiego w Niemczech (Handbuch der Litteratur-Wissenschaft, Verlag Atenaion, Oskar Walzel, Poczdam).

W podręczniku tem wystąpi prof. Kleiner może po raz pierwszy nie tylko, jako znawca historji literatury, lecz równocześnie, jako znawca literatury współczesnej, zamówiona bowiem praca obejmuje także i czasy najnowsze.

Jak dowiadujemy się, prof. Kleiner zaraz po Słowackim przystępuje do wielkiej monografji o Adamie Mickiewiczu,— poczem zamierza rozpocząć przygotowawcze prace do krytycznego dzieła o współczesnej literaturze polskiej, łącznie z najnowszym jej okresem

———

Znany autor „Dulcissa Cunegundis" (tak wychwalanej przez Żeromskiego) i „Na Dworze Króla Stasia", Stanisław Wasylewski, prócz pracy feljetonowej oraz pedagogcznej (Wasylewski jest znanym we Lwowie polonistą) pracuje obecnie nad polską Kostjumologją.

Jak wiadomo, Wasylewski jest wielkim amatorem zabytków i bibelotów, posiada sam bardzo cenne zbiory, ma wielkie zrozumienie stylu historycznego. Spodziewać się należy, że Kostjumologja Wasylewskiego trafi nietylko do amatorów, lecz niejedno z naszych „historycznych" przedstawień teatralnych uratuje od wielu śmiesznych w zakresie kostjumu i charakteru historycznego lapsusów.

———

„Zajmująca Bibljoteka", wydawana w Zagrzebiu przez D-ra Mikołaja Andric'za, której od roku 1912 wyszło już około 400 tomów, pomieściła z polskiej literatury przekłady Sienkiewicza (Z Pustyni i z puszczy), Żeromskiego („Dzieje Grzechu" i „Urodę Życia"), Ligockiego („Noc na Palatynie"), wreszcie przekłady z Rodziewiczówny, Niedźwiedzkiego, Glińskiego i Maciejowskiego.

Autor przekładów Żeromskiego i Sienkiewicza p. Juljusz Benisić przetłomaczył obecnie dla wyżej wspomnianej bibljoteki w Zagrzebiu J. Kaden-Bandrowskiego „Miasto Mojej Matki". Książka ta ukazać się ma niebawem po czesku, w sezonie zaś 1927 — 1928 ma wyjść w przekładzie niemieckim i francuskim.

Dowiadujemy się równocześnie, że od tak dawna projektowane przekłady z polskiego na angielski zaczną się niebawem ukazywać w Londynie. W pierwszej serji tomów pójdzie Kossak-Szczuckiej „Pożoga", następnie monumentalny „Faraon" Prusa.

W języku włoskim ma się ukazać wkrótce antologja prozy polskiej. Do próbek danego autora dołączona będzie w tem wydaniu zwięzła charakterystyka pisarza. Napisania owych charakterystyk podjął się znany krytyk, p. L. Pomirowski.

k.



Nowa literatura węgierska

Nowa literatura węgierska nie jcst u nas znana zupełnie. Kasowe sztuki teatralne przychodzą do nas w niemieckim przekładzie przez Wiedeń. Beletrystyka, poezja, krytyka nie dociera wcale. Dobrze uczynił p. Eugenjusz Köveskuti, że opublikował zwięzły zarys literacki pt. „Nowa literatura węgierska". Dowiadujemy się z tej rozprawki o tak wybitnych poetach, jak Andrzej Ady. Uchodzi on w ojczyźnie swojej za twórcę, który „od czasu Vörösmarty'ego pogłębił styl poezji węgierskiej, wpłynął na przekształcenie smaku estetycznego, przeniknął los swego narodu". Drugą gwiazdą na firmamencie poezji węgierskiej współczesnej jest Michał Babits. Te dwa nazwiska nie wyczerpują bogatej listy twórców współczesnej literatury węgierskiej.

Muza madjarska śpiewa nawet w warunkach nieprzyjaznych: w Siedmiogrodzie stoi na straży słowa Aleksander Remenyik, głęboki filozof i świetny stylista. Pod zaborem czeskim śpiewa pełen siły i symboliki słowa Władysław Mécs.

Jak wynika z rozprawy p. Eugenjusza Köveskuti'ego, Węgry okrojone pod względem kultury ducha nie zniżyły wcale swego lotu. Pracują na każdem możliwem polu i dostarczają dzieł, godnych poznania. Narazie zyskali popularność przez teatr. Nie są to jednak dzieła, które krytyka węgierska uważa za najwartościowsze. Czary słowa, polot fantazji, wzruszenia duszy węgierskiej reprezentują artyści tacy, jak Madach, Katon, Kiswaludy i Szigligeti. Popularność zawdzięcza jednak teatr węgierski, dzięki utworom Hercega, Molnara, Lungyel'a. I u nas autorzy ci znani są i cenieni.

Rozprawka p. Eugenjusza Köveskuti jest cennym nabytkiem i stanowi jedyne źródło wiadomości o literaturze węgierskiej.

Z dziedziny kosmetyki leczniczej

Plamy barwikowe na skórze mogą być uzależnione od 1) nadmiernego skupienia się barwika, 2) od zmniejszenia się barwika, 3) od zaniku barwika. Przyczyn zaś należy szukać w cierpieniach wątroby, nerek, żołądka, jajników tarczycy, wpływie słońca, promieni Rentgena i t. p. Co do formy, i wielkości to podzielić je można na: 1) zajmujące znaczną przestrzeń i 2) występujące w postaci ograniczowych plam. Dziś pomówimy o plamach należących do pierwszej kategorji, o t. zw. Ostudzie. Przyczyny tego cierpienia należy szukać nie tylko w wyżej wymienionych wewnętrznych niedomogach, ale także w czynnikach mechanicznych jak to tarcia; i chemicznych (np. nalewka Jodowa). Często spotykamy ostudę u ciężarnych, chorych na przymiot, suchoty i t. p. Jako rezultat zatrucia organizmu produktami wytwarzającymi się w organizmie pod wpływem tych chorób. To też przedewszystkiem należy zwrócić się do leczenia przyczynowego. Zewnętrznie należy przedewszystkiem zwrócić uwagę na mycie. Myć się powinno w gorącej wodzie mydłem zawierającym siarkę. To też stosujemy tu mydło „Siarkowe 10%" (Malinowskiego) co zaś do środków leczniczych to stosujemy te które używa się przy leczeniu piegów, to też przedewszystkiem środki złuszczające. Dobrze działa nacieranie spirytusem ogórkowym (Malinowskiego) poczem nasmarowanie chociażby następującym kremem: „Wody utlenioenj 12,0; nadtlenku Zynku 6,0; kwasu salicylowego 0,3 i waseliny 45,0. Z gotowych preparatów dobrze działa „Pretiosa". O ile by po stosowaniu złuszczających środków nastąpiło podrażnienie — należy miejsca powyższe przetrzeć jakimś subtelnym tłuszczem jak np. „kremem lanolinowym Malinowskiego".

Dr. med. Feliks Rostkowski

TAM KUPUJCIE!

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SPRAWY PAŃSTWOWE

Premjer marszałek Piłsudski wyjechał na wywczasy do Druskienik. Ster rządu objął wicepremjer p. Bartel.

Podsekretarzem stanu w ministerstwie skarbu zamianowany został Dr. Tadeusz Grodyński, wybitny fachowiec w tej dziedzinie.

Państwowa Rada Samorządowa odbyła organizacyjne zebranie i opinjodawczą naradę nad przedstawionemi jej projektami rozporządzeń w sprawach komunalnych.

Komisarz Ligi Narodów van Hamel został przyjęty przez p. Prezydenta Rzeczypospolitej podczas jego pobytu w Gdyni. Niemiecka prasa nacjonalistyczna nie może przeboleć tych odwiedzin.

Generał Zagórski, zwolniony z więzienia w Wilnie, przybył do Warszawy i zniknął stąd bez śladu. Władze wojskowe poszukują go.

SPRAWY POLSKIE

Szereg spraw gdańskich wejdzie na najbliższą sesję Rady Ligi Narodów. Większość zwrócona ostrzem przeciw Polsce i polskim interesom w wolnem mieście.

Nadużycie prawa azylu przez niektórych emigrantów rosyjskich zmusiło rząd polski do wymówienia gościny na polskiem terytorjum kilku osobistościom.

Antypolskie przemówienia wygłosili dwaj znani działacze gdańscy: wiceprezydent senatu Riepe i prezydent Izby handlowej Klawitter. Wystąpienia ich potępiła nawet rozsądniejsza prasa niemiecka w Gdańsku, jako szkodliwe.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Próba przewrotu w Portugalji, przedsięwzięta przez grupę oficerów, została bezkrwawo zlikwidowana przez rząd, który niezwłocznie opanował sytuację.

Z udziału w naradach Ligi Narodów zrezygnował senator de Jouvenel. Briand nie pochwala tego postąpienia i twierdzi, że Liga pełni jak najlepiej swe zadania, chociaż niektóre konflikty korzystniej załatwia się w drodze dyplomatycznej.

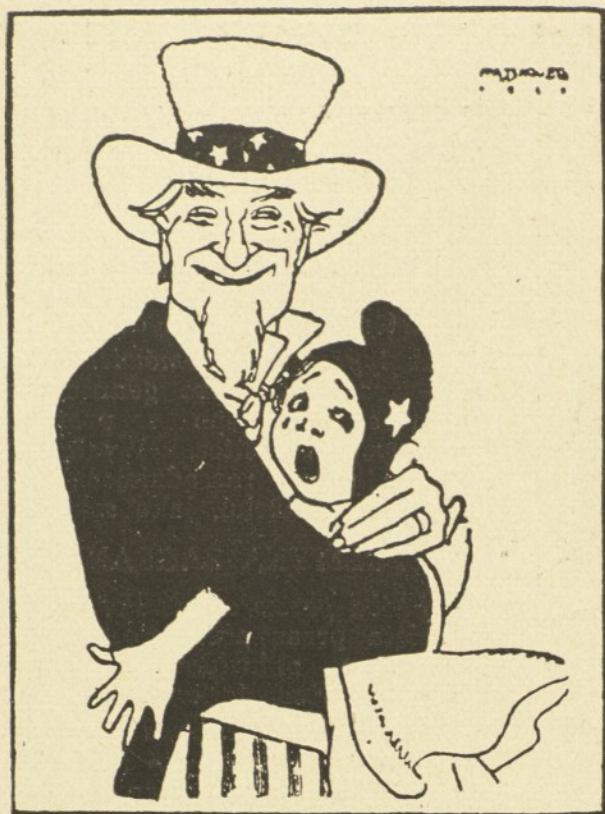
Trockiemu i Zinowjewowi udzieliły centralne władze partji komunistycznej ostrej nagany, nie wykluczając ich narazie ze składu partji. Próby załagodzenia konfliktu zawodzą jednak.

RÓŻNE

Wielki bunt indjan przeciw białym wybuchł w Boliwji i zatacza coraz szersze kręgi. Indjanie mordują bez litości wszystkich białych.

Samoloty niemieckie „Europa" i „Bremen", które wyruszyły do Ameryki, musiały zawrócić z drogi wskutek złych warunków atmosferycznych i bez szwanku wylądowały.

HUMOR ZAGRANICZNY



Wujaszek Sam—Pójdź w me objęcie, drogie dziecko.
Ameryka Centralna—Nie ściskaj tak mocno, bo mię udusisz!

(Carteles, Havane).